



Webber Meredith

Słońce w sercu



Rozdział pierwszy

Esther Shaw przystanąła na chodniku prowadzącym do wysokiego budynku i sprawdziła, czy numer domu zgadza się z tym, który miała zapisany na kartce. Ciemne chmury ponuro kłębiły się nad jej głową, a w wilgotnym, rozgrzanym powietrzu wisiał deszcz. Chociaż namokła ziemia i wezbrane strumienie dobitnie świadczyły o tym, że każda kropla może stać się początkiem katastrofy, Esther nagle zamarzyła o rzęsistej ulewie, która przyniosłaby choć chwilową ulgę.

Jeszcze raz spojrzała na budynek. W mieście, które cyklon sprzed dwóch tygodni dosłownie zmiotł z powierzchni ziemi, tak wysoka i solidna konstrukcja wyglądała niezwykle. Blok mieszkalny i szpital stały dumnie niczym dwie niewzruszone skały wśród morza ruin - symbole triumfu człowieka nad niszczycielską siłą natury.

Owszem, szpital nieco ucierpiał - wiatr zerwał z dachu blaszane pokrycie i wyrwał okna - ale ludzie, którzy go budowali, wykonali kawał dobrej roboty. Ich dzieło oparło się największemu tropikalnemu cyklonowi, jaki kiedykolwiek nawiedził miasto Jamestown.

Ta sama ekipa postawiła też blok wznoszący się przed nią - Esther dowiedziała się tego od pani z administracji, która podała jej adres - i najwyraźniej pracowała równie solidnie jak przy budowie szpitala, bo zniszczenia dokonane przez wiatr były jedynie powierzchowne.

- Niestety, będzie pani musiała dzielić mieszkanie z innymi lokatorami - wyjaśniono jej. - W tym momencie każdy, kto ma dach nad głową, przyjmuje do siebie bezdomnych i osoby, które, tak jak pani, przyjechały pomóc. Żołnierze ewakuowali większość mieszkańców, ale ludzie wracają. Nawet jeśli nie mają tu gdzie mieszkać, Jamestown to ciągle ich dom.

Esther dowiedziała się więcej o tragedii, gdy przeszła kilka przecznic dzielących szpital i blok, w którym miała zamieszkać. Wśród gruzów krzątały się grupy żołnierzy i cywilów, ładujących gruz na ciężarówki. Chodniki tarasowały ogromne palmy wyrwane z korzeniami. Słupy telegraficzne, złamane w pół niczym gigantyczne zapalki, wały się po ziemi w miejscach, w które akurat cisnął je wiatr. Wokół leżało pełno poszarpanej blachy i mokrych, pleśniejących już ozdób choinkowych, które przypomniały Esther, że do Bożego Narodzenia pozostały zaledwie trzy tygodnie.

Boże Narodzenie - czas miłości i zgody. Najradośniejsze ze świąt.

Nie dla Esther. Już nie. Dla niej był to tylko okres, który trzeba przetrwać. Zacisnąć zęby i odepchnąć od siebie wspomnienia. Gdyby tylko dopuściła je do siebie, zniszczyłyby ją, a ona nie zamierzała na to pozwolić. Zamiast o sobie, postanowiła myśleć o ludziach z Jamestown. Ich świąteczne plany zostały zdmuchnięte przez wiatr w ciągu zaledwie jednej nocy. Jak też oni radzą sobie, oczekując Bożego Narodzenia, kiedy ich domy legły w gruzach, a nadzieja została zmieciona z powierzchni ziemi?

Gdziekolwiek się odwróciła, wszystko ukazywało jej bezmiar cierpień mieszkańców. Tu i ówdzie stał jakiś dom wybudowany już po wprowadzeniu przepisów dotyczących konstrukcji budowli w okolicy zagrożonej huraganem. Ale były to nieliczne budynki, które właściwie przypominały tylko, że kiedyś istniały tu uliczki, gdzie sąsiedzi plotkowali, a dzieci grały w parku w piłkę i krykieta.

- Blok należy do szpitala, więc zakwaterowani są tam głównie lekarze lub pielęgniarki - powiedziano Esther. - Na parterze mieszka administratorka, ona powie pani, gdzie dostała pani przydział.

Esther chciała jak najszybciej dotrzeć na miejsce i pozbyć się ciężkiej walizki. Już miała zapukać do drzwi mieszkania administratorki, gdy dostrzegła kopertę leżącą u swoich stóp.

„Do lekarki z Brisbane” - głosił napis wykonany czarnym flamastrem. Na brzegu koperty sterczał kawałek taśmy klejącej. Była zapewne przylepiona do drzwi, ale klej puścił z powodu wilgoci.

Chyba jest jedyną lekarką przybywającą z Brisbane i skierowaną do tego budynku?

Esther otworzyła kopertę.

„Przepraszam, musiałam wyjść - przeczytała. - Mój syn miał wypadek w pracy. Jestem w szpitalu. Czeka na panią pani Jackson z piątego piętra. Będzie w domu cały dzień”.

Pani Jackson! Pomimo duchoty, ciężkiej walizki i zmęczenia podróży, Esther nie mogła powstrzymać uśmiechu. Co za zbieg okoliczności... Kiedyś to do niej zwracano się per „pani Jackson”. Oficjalnie została przy swoim panięńskim nazwisku, ale była żoną

Williama Wyatta Jacksona Trzeciego. A może Czwartego? Nie mogła zapamiętać.

Jej teściowa - była teściowa - natychmiast by jej o tym przypomniała, ale znajdowała się po drugiej stronie oceanu, zapewne brylując na przyjęciach zamożnych mieszkańców przedmieść Atlanty.

Winda wydała dźwięczny sygnał, oznajmiając swe przybycie. Drzwi rozsunęły się, Esther wciągnęła walizkę do środka i nacisnęła przycisk z numerem pięć. Myśli, których starała się unikać, uporczywie wracały, odkąd zobaczyła nazwisko Jackson.

Gdzie jest teraz Bill? Nadal w Atlancie? Czy zatrzymał dom, w którym mieszkali? Zapewne tak, w końcu był jego własnością na długo przed tym, zanim się pobrali. A Bill nie należy do osób sentymentalnych, nie jest z tych, którzy wciąż rozdrapują stare rany. Pewnie nie widzi jej postaci, gdy wchodzi do pokoju, w bezsenne noce nie słyszy rozpaczliwie płaczącego dziecka.

Czy myśli o niej tak jak ona o nim, kilkakrotnie w ciągu każdego dnia? Albo chociaż czasami? Czy w ogóle ją pamięta? Na pewno już zapomniał, stwierdziła. W centrum zainteresowania Billa zawsze była praca naukowa. Niespodziewane zauroczenie, jakie im się przytrafiło, zdumiało go. Właśnie tak, zdumiało. Zdumienie nie powstrzymało go jednak od czynów. Wręcz przeciwnie - podążał za tą fascynacją z takim samym zapałem i uporem, z jakim rozwikływał swoje wirusowe zagadki. Jego determinacja sprawiła, że miesiąc po poznaniu się byli już małżeństwem.

Drzwi windy otworzyły się cichutko.

Bill nie jest typem człowieka, który nie może się oderwać od widm przeszłości. Jest zbyt pragmatyczny, zbyt rozsądny. Zawsze

zachowuje się jak w laboratorium. Eksperyment się nie udał? Trudno, bywa. Trzeba to zaakceptować i zacząć od nowa. Esther tak nie umiała. Płakała, jęczała i zgrzytała zębami.

Drzwi windy zaczęły się zamykać. Esther, która teraz dopiero zdała sobie sprawę, że zatraciła się we wspomnieniach, wcisnęła pospiesznie przycisk, który ponownie otworzył windę, i czym prędzej z niej wysiadła.

Przed nią były tylko jedne drzwi, zaraz na wprost. Mieszkanie najwyraźniej zajmowało całe piętro.

- Uff! - powiedziała na głos. Spotkania z nowymi ludźmi zawsze przyprawiały ją o zdenerwowanie, a kiedy była zdenerwowana zaczynała do siebie mówić. - Przynajmniej mają dużo miejsca, żeby przyjmować gości.

Dźwięk własnego głosu nie poprawił jej samopoczucia, więc zebrała się na odwagę, zapukała i głęboko odetchnęła, starając się uspokoić łomoczące w piersi serce.

Zdarzyło jej się rozmawiać z innymi osobami wychowanymi w domach dziecka i wiedziała, że wszyscy mają ten sam problem - lęk w momencie spotkania z obcymi. Zbyt często im się to zdarzało - stać przed drzwiami nieznanego domu, ściskając dłoń opiekunki, modląc się o to, by ten, kto otworzy, ich polubił.

Proszę, proszę, niech mnie polubią! Ta cicha modlitwa wciąż rozbrzmiewała w głowie Esther, gdy spotykała nowych ludzi. Mimo że teraz jest przecież dorosła, bezpieczna, pewna siebie - przynajmniej na tyle, by wiedzieć, że to, czy czują do niej sympatię czy też nie, jest właściwie bez znaczenia.

- Więc dlaczego jestem bliska zawału? - mruknęła do siebie, słysząc szcęk otwieranego zamka.

Ale jeśli czuła panikę przed otwarciem drzwi, było to i tak pestką w porównaniu z tym, co przeżyła sekundę później. Serce jeszcze bardziej przyspieszyło, a potem jakby zwolniło. Esther była przekonana, że osunie się na ziemię. Dopiero suchy głos żony Williama Wyatta Jacksona Drugiego - czy jednak Trzeciego? - przywrócił jej przytomność ciała i umysłu.

- Nie mdlej mi tutaj, Esther - rozkazała. - Nie będę mogła ci pomóc i nie życzę sobie, żeby Chloe oglądała dorosłą osobę przewracającą się na podłogę.

W Esther wciąż pozostało wystarczająco dużo szacunku i podziwu dla tej kobiety, by wykonać polecenie. Chwyciła klamkę i zdołała jakoś utrzymać się na nogach.

- Co tutaj robisz? - zapytała Gwyneth. - Jeśli chcesz zobaczyć się z Williamem, masz pecha. Pracuje, jak zresztą zawsze. Mieliśmy tu cyklon, jeśli nie zauważyłaś. Miasto jest w ruinie.

Modlitwa o sympatię nie została wysłuchana od dnia, w którym Esther po raz pierwszy spotkała Gwyneth Jackson. Sądząc z głosu byłej teściowej, nic się w tej kwestii nie zmieniło do tej pory. Gwyneth planowała zupełnie inne małżeństwo dla syna. Pragnęła, by poślubił Marcie Regan, córkę przyjaciółki z dawnych lat. Esther pokrzyżowała te plany i skradła jej jedynaka. W dodatku nie była Amerykanką. Gwyneth nigdy nie starała się ukryć rozczarowania synową, a szczerość, z jaką je wyrażała, często graniczyła z nieuprzejmością.

Ale Esther nie była już płochliwą, młodziutką lekarką, zakochaną do szaleństwa w synu Gwyneth. Aby to udowodnić, zdjęła

rękę z klamki, której dotąd kurczowo się trzymała. Jej piwne tęczo-
wki rozbłysły, gdy spojrzała w chłodny błękit oczu starszej
kobiety.

- Wiem o cyklonie. Przyjechałam pomóc. W szpitalu powie-
dziano mi, że mam się zatrzymać właśnie u was. Ale skoro sta-
wiam nas wszystkich w niezręcznej sytuacji, na pewno znajdę
sobie jakieś inne lokum.

Zabrzmiało to odważnie, ale w rzeczywistości Esther była w
stanie paniki nie do opisania. Bill jest w Jamestown!

Nie teraz, nie przy jego matce. Stawienie czoła Gwyneth Jack-
son wymaga olbrzymiej siły psychicznej. Plus jeszcze trochę. Być
może boska interwencja mogłaby tu pomóc, ale na nią Esther nie
liczyła. Jak dotąd siły nadprzyrodzone trzymały się od niej z dale-
ka. Anioł stróż może chroni innych przed katastrofami, ale ona
swojego nie ma.

- Wątpię, czy zakwaterują cię gdzie indziej - odrzekła Gwynet-
h, uchylając drzwi, nie na tyle jednak szeroko, by można było
uznać to za zaproszenie do środka. - William mówi, że wszyscy
lekarze goszczą co najmniej jedną osobę, niektórzy nawet więcej,
jeśli mają gdzie. Ale sądzę, że jest wysoce niewskazane, żebyś
przebywała właśnie tutaj. Zadzwońię do szpitala. Niech przyślą
mi kogoś innego, zamienią was miejscami.

Jak paczki dostarczone pod niewłaściwy adres. Albo jak zwrot
wadliwego towaru do sklepu, pomyślała Esther, ale zanim zdołała
sformułować odpowiedź, Gwyneth zatrzaskała jej drzwi przed
nosem.

Wyczerpana nadmiarem emocji, Esther osunęła się po ścianie, usiadła w kucki i zamknęła oczy. W takiej właśnie pozycji, wnu-
rzywszy się z windy, ujrzał ją Bill.

- Esther?

Na skutek niedowierzania jego głos poniósł się o kilka tonów, ale sposób, w jaki wymawiał jej imię, pozostał niezmienny. Esther poczuła, jak przeszywa ją dreszcz podniecenia, o którym zdążyła już zapomnieć. Otworzyła oczy i spojrzała na człowieka, którego miała nie spotkać już nigdy w życiu.

Wyglądał okropnie. Kilkudniowy zarost, cera poszarzała ze zmęczenia, cienie w zapadniętych oczodołach. Nawet jego intensywnie błękitne tęczęwki w otoczeniu przekrwionych białek wydawały się przyblakłe.

- Bill... - To imię wyrwało się z jej ust jak westchnienie. Dźwignęła się na nogi i zupełnie odruchowo wyciągnęła ręce w geście pocieszenia. - Biedaku - mamrotała, czując, jak jego ramiona obejmują jej plecy tak naturalnie, jakby nigdy się nie rozstawali. - Biedaku. Jest aż tak źle? Nie wysypiasz się? Bierzesz na siebie cały ciężar tego, co się stało? Nie potrafisz dzielić się obowiązkami?

Stare zarzuty - powtarzała mu je wielokrotnie, gdy pracował do granic sił. Miała wrażenie, że czas się cofnął. Znajome były nie tylko własne słowa, ale także dotyk Billa i to, jak ich ciała dopasowywały się do siebie.

- William! - Drzwi otworzyły się i pełen oburzenia okrzyk huknął tuż przy uchu Esther.

Bill spojrzał na matkę, odsunął się od Esther i uśmiechnął z trudem.

- Nie mów mi, że to ty jesteś tym epidemiologiem z Brisbane - rzekł do Esther. - Pozwolę sobie sparafrazować Humphreya Bogarta: Ze wszystkich epidemii we wszystkich szpitalach świata, musiałaś wybrać właśnie tę. Myślałem, a właściwie słyszałem, że pracujesz w Afryce?

Ucieszyła się, że Bill wie, gdzie pracowała.

- Niedawno stamtąd wróciłam. A co do Bogarta, on nie cieszył się, że widzi kobietę, do której mówił. Ty powinieneś się cieszyć, bo właśnie przybył ktoś do pomocy.

- Owszem - przyznał, ale skrzywił się przy tym, więc potwierdzenie nie wypadło przekonująco.

Esther natychmiast przestała cieszyć się z czegokolwiek. Odżyła już równowagę na tyle, by wiedzieć, że sytuacja faktycznie jest nie do przyjęcia. Musi znaleźć sobie inne mieszkanie. Obydwoje Jacksonowie - matka i syn - zaczęli działać jej na nerwy. A wołała być wściekła, niż bać się Gwyneth albo rozczulać nad Billem. Nie powinna była go przytulać! Odwróciła się do Gwyneth.

-Dzwoniłaś do szpitala? Jest jakieś inne miejsce dla mnie?

Grymas, jaki odmalował się na twarzy Gwyneth, wystarczył za odpowiedź.

- Nie - mruknęła lodowatym głosem.

- Ależ nie ma powodu, żebyś się przenosiła! - zawołał Bill. - W administracji mają dosyć pracy i bez przekwaterowywania ludzi. Chodź, Esther. Miejsca mamy dużo.

Gwyneth odwróciła się na pięcie, a jej sztywno wyprostowana sylwetka świadczyła o tym, co sądzi o zaproszeniu. Niemniej nie odezwała się, a Bill podniósł walizkę i wszedł do środka.

Radosny okrzyk „dada!” zbiegł się dokładnie z momentem, w którym ujrzała dziecko. Tym razem - była o tym przekonana - jej serce naprawdę przestało bić. Chłód zmroził całe jej ciało, gdy zobaczyła małe stworzonko chwiejące się na nóżkach, jedną rączką trzymające się stolika, a drugą wyciągające w powitalnym geście w stronę ojca.

Każda normalna osoba, jak pomyślała później Es-ther, zaczęła by się w tym momencie rozglądać za matką dziecka i zrozumiała, dlaczego Gwyneth tak bardzo nalega, by Esther się wyniosła. Ale ona zastygła z oczami utkwionymi w maleństwie, które teraz wyciągnęło pulchne ramionka do ojca i nie mogąc utrzymać równowagi, z rozmachem siadło na podłodze. Upadek zamortyzowała na szczęście solidna pielucha.

Bill ma dziecko. Dziewczynkę. To, które stracił, też było dziewczynką. To, które i ona straciła.

Przepełniona bólem stała jak zahipnotyzowana, wpatrzona w to wcielenie ducha, który ją nawiedzał. Bill podszedł do dziewczynki, podniósł ją i odwrócił się do Esther:

- To jest Chloe. Chloe, przedstawiam ci Esther, moją starą przyjaciółkę.

- Nie! - rozpaczliwy okrzyk bólu wyrwał jej się z gardła. Rozejrzała się po pokoju, gotowa do ucieczki. Nagle dopadł ją koszmar dzieciństwa. Czowała się tak jak kiedyś—w obcym domu, pewna, że ludzie, do których trafiła, nie chcą takiego dziecka jak ona: ciemnookiego, chudego, rozczochranego. A jednocześnie świadoma, że musi z nimi zostać, bo nie ma dokąd pójść. - Nie ma dokąd pójść, prawda? – szepnęła i opadła na kanapę jak żalosna kupka szmatek. Musi jak najszybciej się stąd wynosić.

Iść sobie. Gdziekolwiek!

Nagle zdała sobie sprawę, że Bill siedzi obok.

- Przepraszam cię. To niewybaczalna bezmyślność z mojej strony, wszystko przez przemęczenie, zresztą nieważne przez co. Nigdy w życiu nie chciałem cię skrzywdzić, ty wiesz o tym najlepiej, Esther. To dziecko to dla mnie radość, moje okno na normalny świat. Nie pomyślałem...

Nerwowy pośpiech w jego głosie powiedział jej więcej niż same słowa. Słyszała w nim szczerość i żal, a obejmujące ją ramię działało uspokajająco. Było ciepłe i przyjemnie ciężkie. Musi je zrzucić, lecz współczucie odbierało jej siły. Bill nie powinien też myśleć, że to widok dziecka wyprowadził ją z równowagi.

Popatrzyła mu w oczy.

- Nie mogę tu zostać, idioto! - wybuchnęła. - A ty powinieneś być pomyśleć o tym, zanim mnie tu wprowadziłeś! - Starła się dobierać słowa dobitne i bolesne, chociaż najchętniej dotknęłaby jego twarzy i wygładziła linie zmęczenia na policzkach. - Wszyscy staramy się zachowywać uprzejmie, jak cywilizowani ludzie, ale twojej żonie... - omal nie udławiła się tym słowem - twojej żonie powinniśmy oszczędzić tego typu sytuacji.

Pogratulowała sobie odwagi i bezpośredniości, a Bill najspokojniej w świecie obalił jej koronny argument.

- Ja nie mam żony - wyjaśnił. - Przynajmniej tak mi się wydaje.

Esther nie była w nastroju do zgadywania.

- Ale masz dziecko - odparła. - A co do żony, to nie może ci się wydawać, że ją masz albo nie. Żony się nie przestawia w inne miejsce ani nie gubi.

- Ja zgubiłem - odrzekł cicho.

Te słowa okraślił zmęczony uśmiech, który tak podziałał na od dawna uśpione hormony Esther, że od razu przypomniała sobie, że nie powinna zostawać sam na sam z tym człowiekiem. Zerwała się z miejsca i chwyciła walizkę.

- Idę. Na pewno nie jesteś posiadaczem jedynego wolnego łóżka w całym Jamestown.

- Jeśli chodzi o moje prywatne łóżko, to wolna jest tylko jego połowa - odparł Bill, wciąż się uśmiechając. - Ale mam coś, czego nie znajdziesz nigdzie w okolicy: wolną sypialnię. Siostra mojej mamy - pamiętasz Mallory? - przyjechała do nas najpierw tylko na dwa tygodnie, ale została na dłużej z powodu utrudnień w komunikacji, jakie spowodował cyklon. Udało jej się wylecieć do domu dopiero dziś rano, kiedy otworzyli lotnisko. - Wstał z taką miną, jak gdyby jego słowa rozwiązały sytuację, i wyjął walizkę z dłoni Esther. - Zostań przynajmniej na tę noc. Choćby dlatego, że jestem za bardzo zmęczony na szukanie dla ciebie lokum. Jutro rano coś wymyślimy.

Może Bill ma rację.

Jedna noc chyba nie zaszkodzi.

Będę miała swój pokój, zamknę się w nim i nie będę oglądać dziecka. Jego dziecka.

Aż zachłysnęła się z bólu. Potężne imadło chwyciło ją za serce i zaciskało się, wyduszając z niego każdą kroplę krwi.

- Tędy. - Bill stał już przy wejściu do korytarza. Esther niechętnie ruszyła za nim. Zdarzały ci się w życiu gorsze rzeczy, upomniała się. Straciła rodziców jako czterolatka, rok później zabrano ją z jej ukochanego domu zastępczego. Straciła dziecko - nie, o tym nawet nie może myśleć. Straciła Billa... O tym też nie może myśleć.

Bill pokazał jej pokój, prysznic oraz toaletę i wyszedł, mrużąc coś o kolacji, na którą ją zawoła.

Nie myśleć o przyszłości - była to kolejna lekcja, jakiej nauczyło ją dzieciństwo.

Jedna noc to już sukces. Jeśli zachowa się grzecznie, nie popełni żadnej gafy i niczego nie popsuje, istnieje szansa, że pozwolą jej zostać na kolejną noc. Chociaż Esther wcale nie zamierzała zostać na dłużej...

Wzięła prysznic, zawinęła się w ręcznik i starannie rozczesała włosy. Zaskoczyło ją pukanie do drzwi.

- Wracam do szpitala - oznajmił Bill. - Jest nowy pacjent. Nie sądzę, żebyś miała ochotę iść ze mną.

- Na pewno ktoś inny może pójść! - odrzyknęła, szarpnęła za klamkę i spojrzała w poszarzałą ze zmęczenia twarz byłego męża.

- Nie musisz - powiedział cicho.

Przez chwilę nie mogła pojąć, o co mu chodzi.

- Oczywiście, że pójde ja, a ty powinieneś iść do łóżka. Popatrz tylko na siebie. Nie wysypiasz się od wielu dni. Do niczego się nie przydasz pacjentom, jeśli zapracujesz się na śmierć. - Bill nie zareagował na jej protest. Patrzył w nią jak zahipnotyzowany. - Zresztą ja potrafię zrobić wszystko, co należy. Jestem lekarzem, dam sobie radę. Bill, ty się kładź, a ja pójde do szpitala.

Bill po raz kolejny nie odezwał się ani słowem. Słyszał, co mówiła, ale nie mógł zdobyć się na odpowiedź. Oczarował go kontrast pomiędzy białą ręcznika a jej ciemną gładką skórą. Był zbyt oszołomiony nagłym pojawieniem się Esther i wstrząśnięty tym, jak działa na niego jej widok.

Tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy ją zobaczył... Ten obraz wciąż tkwił w jego głowie żywy, ostry i precyzyjny.

Drobna, wiotka, półdziewczynka, półkobieta z ogromnymi czarnymi oczami, które spoglądały na niego z obawą, jak gdyby pytając, czyjej nie odrzuci. A jednocześnie było w jej postawie coś, co przeczyło wyrazowi tych oczu. Zawziętość i determinacja rysujące się w kącikach pełnych ust sugerowały, że ta delikatna istota stawia czoło każdemu ze swoich koszmarów, będzie walczyć i wygra.

Chciał walczyć z nimi razem z nią. Stać u jej boku, odpędzać potwory, które zechciałyby zakłócać jej spokój. Chronić ją, troszczyć się, bronić. Już na zawsze.

- Idź, muszę się ubrać. - Położyła mu rękę na piersi i lekko go popchnęła. Posłusznie postąpił krok do tyłu, a Esther zamknęła drzwi.

Bill był wyczerpany, ale tego pacjenta musi zobaczyć. Cyklon pochłonął już wystarczająco dużo ofiar. Nie wolno dopuścić do kolejnych.

- Ona nie może tu zostać. Jeśli Marcie się dowie, zabierze ci Chloe. Wiesz, jaka potrafi być mściwa. Nie mogę uwierzyć, że ot tak się pojawiła. Znów zrujnuje wszystko!

Głos matki, histerycznie piskliwy, był donośny, więc Bill czym prędzej wtrącił:

- Marcie nie chce Chloe. I skąd miałyby się dowiedzieć, że Esther tu jest?

Gwyneth milczała, ale drgnięcie jej podbródka wyjaśniło mu wszystko.

- Kontaktujesz się z nią?

Wprost nie mógł uwierzyć. Zapadła długa cisza.

- Ona jest matką Chloe - odparła w końcu Gwyneth. - Ma prawo usłyszeć, jak się wiedzie jej córce. Od czasu do czasu dzwoni, więc rozmawiam z nią. To chyba normalne?

Bill westchnął. Prawa Marcie do czegokolwiek związanego z córką były według niego mocno dyskusyjne, skoro nie wyraziła zainteresowania Chloe od dnia, w którym dziewczynka się urodziła. Wiedział jednak, że matka kocha Marcie i wybaczy jej wszystko, łącznie z porzuceniem wnuczki. Spróbował z innej strony.

- Esther jest świetnym lekarzem i potrzebujemy jej - wyjaśnił uprzejmie. W głębi duszy był przerażony. Czy Marcie rzeczywiście mogłaby zabrać mu Chloe tylko dlatego, że Esther znów pojawiła się w jego życiu? I to pojawiła się nie z jego winy, bez żadnych intryg, po prostu przez czysty przypadek. Nie, z pewnością nie. Nawet Marcie nie jest aż tak bezduszna.

- Być może jest potrzebna w Jamestown - przyznała Gwyneth - ale nie w tym domu. Dla niej też nie jest to korzystne. Widziałeś, jak zareagowała na widok Chloe. Poczula się winna, że straciła twoje dziecko.

- Esther miała wypadek - wycedził Bill, starając się kontrolować wściekłość palącą mu wnętrzności. Jego matka jest najbardziej nieczułą kobietą na ziemi!

- Okropny, tragiczny wypadek. W tym nie ma niczyjej

winy, mam, i zarówno ty, jak i ja, wiemy o tym doskonale.

- Powiedz to mojemu sumieniu - odezwał się cichy głos i Bill oderwał wzrok od matki, by spojrzeć na Esther stojącą w progu. Włożyła dżinsowe rybaczki i prostą białą koszulkę. Wilgotne ciemne włosy spadały jej na ramiona, lekko podkreślając się na końcach. Uniosła ręce do góry i związała je w koński ogon. Szczupła, lekka i wyprostowana, z głową uniesioną wysoko, jakby rzucała wyzwanie całemu światu, spojrzała na niego z niewzruszonym spokojem.

Nigdy nie wyglądała piękniej!

- Tylko ty możesz uspokoić swoje sumienie - szepnął, ale nie usłyszała go, bo równocześnie z nim powiedziała:

- Gwyneth ma rację. Nie mogę tu zostać. Ale najpierw trzeba ustalić rzeczy najważniejsze. Teraz musimy zobaczyć nowego pacjenta, a skoro już będziemy w szpitalu, chciałabym też zerknąć i na innych.

Ruszyła w stronę drzwi, w ostatniej chwili odwracając się w stronę Gwyneth.

- Obiecuję, że się wyniosę - oznajmiła chłodno - więc nie ma sensu robić laleczki wudu i wbijać w nią igły. Nie przydam się w szpitalu, jeśli nagle zacznę kuleć albo zapadnę na tajemniczą chorobę żołądka.

Rozdział drugi

- Czy ta ostatnia uwaga była konieczna? - zapytał Bill, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

Esther uśmiechnęła się szeroko.

- Może nie, ale poczułam się lepiej. Należało jej się. Nie zdradziła, że słyszała, jak Gwyneth wspomina o Marcie. Ale fakt, że matce Billa udało się dopiąć swego i wyswatać syna z własną kandydatką, zabolą ją tak bardzo, że nie mogła powstrzymać się od zemsty. Bill westchnął ciężko i wszedł za nią do windy.

- Wiem, ona bywa niedelikatna, nawet złośliwa, ale czy możesz mi obiecać, że nie będziesz wszczynać z nią niepotrzebnych utarczek?

- Nie - odparła Esther z nieco wymuszoną nonszalancją, która miała ukryć dziwny koktajl emocji, jaki bulgotał w niej, gdy przebywała z Billem w ciasnym pomieszczeniu windy. Nie widziała go od trzech lat, ale podobnie jak dawniej, jego bliskość rozpętywała w niej burzę. I wcale nie zmieniała tego świadomość, że ma nową żonę, w dodatku tę, którą wybrała dla niego Gwyneth. - To nie ma znaczenia - dodała, starając się mówić lekkim tonem. - Jak tylko znajdę inne mieszkanie, skończą się nieporozumienia.

- Nie znajdziesz - warknął, a potem dodał jedno, jedyne słowo, które skutecznie ostudziło atmosferę. - Kobiety!

Nikt inny nie potrafił włożyć w ten krótki wyraz tyle pogardy. Ale też nikt, kogo znała, nie umiał tak skutecznie posługiwać się głosem, aby osiągnąć zamierzony efekt. Ten cholerny głos! Nawet teraz sprawił, że znów zaczęła myśleć o rzeczach, o których nie powinna. O tej szczególnej intonacji, jakiej Bill używał, gdy jej pragnął. Albo później, kiedy już zaspokoił požądanie...

- Pospiesz się, Esther. Jeśli będziemy iść w takim tempie, pacjent umrze, zanim tam dotrzemy.

Tak jest lepiej, pomyślała, przyspieszając. Gdy jest szorstki i oschły, jego obecność jest łatwiej znieść.

- Skąd na litość boską wzięłeś się w Jamestown?

- zapytała, gdy otworzył przed nią drzwi samochodu.

- Jak długo tu jesteś? Dlaczego wyjechałeś z Atlanty?

- pytała, nurkując pod jego ramieniem i sadowiąc się w fotelu.

Bill odpowiedział dopiero gdy sam usiadł i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Pracuję tu od dwóch miesięcy. Dlaczego Jamestown? Centrum Kontroli Chorób prowadzi program badawczy we współpracy z tutejszym uniwersytetem. Zajmujemy się chorobami wywołanymi przez arbo-wirusy.

Nic dziwnego, że wybrali do tego Billa, pomyślała. Spotkała go po raz pierwszy, właśnie gdy przyjechała do słynnego Centrum Kontroli Chorób w Atlancie, na badania nad wirusami przenoszonymi przez stawonogi

- Bill specjalizował się w komarach.

- Ordynator tutejszego szpitala zajmował się tym tematem - ciągnął Bill. - Zamieniliśmy się na sześć miesięcy. Ja zająłem jego miejsce, a on moje.

Esther wiedziała, że wszyscy naukowcy z Centrum odbywają co jakiś czas praktykę w szpitalach, by nie wyjść z medycznej wprawy, a gdy zajdzie potrzeba, móc pracować przy zwalczaniu epidemii w każdym miejscu w świecie.

- Do nadejścia cyklonu do moich obowiązków należało głównie zarządzanie szpitalem. Potem ewakuowano trzy czwarte mieszkańców, w tym wielu naszych pacjentów.

- Kto został?

- Zatrzymaliśmy większość osób z oddziału geriatrycznego. Część z nich przebywa u nas na stałe, czekając na miejsce w domu starców. Zdecydowaliśmy, że przeniesienie byłoby dla nich zbyt stresujące. Oprócz nich mamy pacjentów chorych na dengę i osoby, które przyjęliśmy już po cyklonie - to głównie ranni. Jeździmy także za miasto do ludzi, którzy ucierpieli mniej. Obecnie szpital pracuje na poziomie jednej czwartej swojej wydolności. Byłaby to bułka z masłem, gdyby nie denga. To jest nasz główny problem.

Wjechali na teren szpitala. Strzępy materiału, dawniej osłaniającego samochody przed tropikalnym słońcem, teraz zwisały smętnie nad parkingiem. Mimo że było jeszcze wcześniej i dopiero zaczynało zmierzchać, parking był rzęsiście oświetlony. Z góry wygląda to pewnie jak oaza światła na pustyni ciemności, pomyślała Esther, wysiadając z samochodu.

- Tak czy owak mielibyśmy mnóstwo zajęć - mówił Bill. - Na początku nic nie działało, zero prądu, wody, kanalizacji. Wojsko

ewakuowało każdego, kto nie mógł pomóc przy odbudowie. Wywieziono zwłaszcza grupy podatne na choroby wywołane przez skażone jedzenie czy wodę, czyli większość dzieci i kobiet oraz ludzi starszych.

- Kobiety i dzieci? A ty zatrzymałeś tu Gwyneth i twoją córkę? I Mallory, jak mówiłeś?

Bill odwrócił się do niej.

- Gdybym wiedział, że będziemy tu mieli epidemię dengi, wyjechałyby, choćbym miał je do tego zmusić. Ale zanim się zorientowałem, co to takiego, ewakuację zakończono.

- Nie próbowano ich zabrać? Bill uśmiechnął się pod nosem.

- Wyobrażasz sobie moją matkę ewakuowaną wbrew jej woli? Cała armia nie dałaby jej rady. Powiedziała młodemu porucznikowi, który się u nas zjawiał, że przestrzega wszystkich zaleceń wydanych przed cyklonem. Że ma latarkę, radio, zapas baterii, palnik gazowy i butlę oraz mnóstwo konserw. Ma też wodę, więc nigdzie się nie wybiera. Na koniec oświadczyła, że jej syn jest tu wpływową osobą i zarówno ona, jak i Chloe zostają wraz z nim.

- A ten porucznik nie protestował? - zapytała Esther, choć świetnie wiedziała, że mało kto jest w stanie stawić czoło igrzysku królewskiej osobowości Gwyneth.

- Próbował. Mama pokazała mu paszport, wyjaśniając, że jest obywatelką Stanów Zjednoczonych i gdyby jej prezydent rozkazał jej się stąd wynieść, to by go posłuchała, ale ponieważ nie podlega jurysdykcji rządu australijskiego, a tym bardziej jego armii, ma wszelkie prawo robić, co chce, czyli; zostać.

- To chyba nieprawda?

- Bujda na resorach - zaśmiał się Bill. - Ale porucznik skapitułował.

Rozbawienie wygładziło nieco zmarszczki znużenia na jego twarzy i przypomniało Esther, jak łatwo kiedyś przychodził im wspólny śmiech.

- Ona rzuca cień na wszystko, co znajduje się wokół... - Dopiero gdy te słowa zabrzmiały, Esther zdała sobie sprawę, że je wypowiedziała. Bill drgnął i ruszył przed siebie, wracając do tematu, który omawiali poprzednio.

- Podczas ewakuacji zabrano także wszystkich, którzy stracili domy. Jeśli nie miałeś dachu nad głową, musiałeś wyjechać, czy ci się to podobało, czy nie.

- Nawet lekarze i pielęgniarki?

- Początkowo, zaraz po cyklonie, każdy, kto miał coś wspólnego z medycyną, zaangażował się w pomoc. Opieka nad rannymi, przeszukiwanie gruzów, dwadzieścia cztery godziny na dobę, bez przerwy. Kiedy wszystko się trochę uspokoiło, lekarze i pielęgniarki, którzy nie mieli domów, zostali przeniesieni. Zatrzymałem tylko tyle osób, ile potrzebowałem przy zmniejszonej liczbie pacjentów.

- Teraz znowu macie ich więcej. Czy ktoś nie może wrócić i pomóc?

Bill przystanął w szpitalnym korytarzu. Na dworze powietrze było gorące i wilgotne, tu podmuch klimatyzacji przynosił ulgę.

- Ja nie mam problemu z liczebnością personelu. Chodzi o to, że ci nowi pacjenci z dengą są nietypowi. - Zmarszczył brwi i wlepił wzrok w czubki butów, a potem spojrzął w oczy Esther. - Staram się, aby jak najmniej osób miało z nimi styczność.

Groza ścisnęła jej gardło.

- Uważasz, że to coś innego niż arbowirus? Myślisz, że to się przenosi przez kontakt z chorym? Albo, jeszcze gorzej, przez powietrze? - Potrząsnęła głową, przekonana, że Bill się myli. - Nigdy nie mieliśmy czegoś takiego w Australii. Nigdy.

Nie śmiała wymienić nazwy, ale mówiąc „coś takiego”, myślała o dziesiątkujących Afrykę wirusach ebola, lassa i marburg.

- Nie - odparł. - Pobraliśmy próbki i sprawdziliśmy w laboratorium. Wyszło nam, że to jednak denga, a dengę przenoszą wyłącznie komary. Problem w tym, że u naszych chorych przybiera ona formę, z jaką się jeszcze nie spotkałem.

- To znaczy?

- Szybko przeradza się w gorączkę krwotoczną, która jest wprawdzie możliwa w przypadku dengi, ale nie na tyle częsta, żeby być na liście typowych symptomów. Następny etap to krwawienie z miejsc po nakłuciach kroplówką oraz wylewy wewnętrzne. Nasz pierwszy pacjent umarł na niewydolność nerek, ale choroba zdążyła zniszczyć mu właściwie wszystkie organy.

- Czyli przypomina to bardziej ostry przypadek gorączki krwotocznej niż którąś z czterech typowych form dengi.

- Właśnie - potwierdził Bill. - Większość pacjentów ulokowałem na szóstym piętrze. Ktokolwiek się na nim znajduje, musi mieć na sobie fartuch i ochraniacze na buty. Jeżeli zaś wchodzi w bezpośredni kontakt z pacjentem, obowiązują go także maska i rękawiczki. Raz użyte są zabierane do dezynfekcji, a następnie niszczone. Wszystkim każe też brać prysznic przed powrotem do domu.

Wysiedli z windy właśnie na szóstym piętrze. Na oddziale było bardzo cicho, co nadawało temu miejscu dziwny, upiorny nastrój. Włożyli stroje ochronne, przeszli przez kolejne drzwi i znaleźli się w nowoczesnej dyżurce. Pielęgniarka uśmiechnęła się do Billa promiennie. Przed nimi znajdowały się drzwi do sal, w których leżeli pacjenci.

- Tak jak ci mówiłem, większość chorych jest tutaj, ale kilku przebywa na intensywnej terapii.

- Czyli?

- Dwa piętra niżej.

- I ty mi mówisz, że masz mało ludzi i mało czasu? Jesteś ordynatorem. Nawet jeśli szpital nie pracuje pełną parą, masz na pewno mnóstwo obowiązków i papierkowej roboty. Do tego jeszcze biegasz między dwoma piętrami, żeby doglądać pacjentów chorych na tę samą chorobę?

- Nie mogę przecież położyć osób w dobrym stanie na intensywnej terapii - burknął Bill z irytacją. - Nie pracuję tu długo, ale wiem, że utrzymanie takiego oddziału kosztuje fortunę. Zastanowiłaś się, ile szpital musi zapłacić za każdą osobę na intensywnej terapii? Lokowanie tam pacjenta, którego życie nie jest zagrożone, to absurd.

- Nie mam pojęcia, ile to kosztuje, ale nie wydaje mi się to absurdalne. Jeżeli to mutacja, która rozprzestrzenia się w inny sposób niż klasyczna denga, zamknięty oddział daje ci możliwość odizolowania chorych. Może nie oszczędzasz przy tym pieniędzy, ale na pewno czas i energię - tłumaczyła Esther, ignorując wyraz przerażenia malujący się na twarzy pielęgniarki, której nie mieściło się w głowie, że można kwestionować decyzje szefa. - W tak

nowoczesnym budynku intensywna terapia na pewno ma wysokiej jakości filtry powietrza. To wręcz idealna izolatka dla zakaźnie chorych. Powinieneś być zacząć od przeniesienia tam wszystkich - dodała.

- Przesada. Przy dendze nie ma konieczności izolacji.

- Tak? To dlaczego nie puścisz wszystkich pacjentów do stółki? Albo nie pozwolisz im odwiedzać kolegów na innych oddziałach?

- Ponieważ nigdy nie widziałem takiej odmiany i nie wiem dokładnie, w jaki sposób się przenosi.

- O tym właśnie mówię! - wypaliła Esther triumfalnie. - Wirus dengi musi wylegać się w komarze i trwa to od ośmiu do dziesięciu dni. Zarażenie się nim od człowieka uważa się za niemożliwe. Ale mój szef, z którym rozmawiałam przed przyjazdem, twierdzi, że skoro ta choroba tak szybko się rozprzestrzenia i szybko rozwija, to może okazać się odmianą przenoszoną, podobnie jak inne gorączki krwotoczne, jednak przez krew.

- Powiedziałaś na głos to, o czym ja bałem się nawet myśleć - przyznał Bill. - Od wielu dni zastanawiam się, czy to możliwe. Napisałem maila do Centrum Kontroli Chorób z pytaniem, czy znają podobne przypadki.

- To jak? Przenosimy wszystkich na intensywną terapię i traktujemy ją jak izolatkę? - naciskała Esther.

Dobrze znała Billa. Zachowywał się spokojnie i nie okazywał zdenerwowania, ale zawsze umiał wysłuchiwać opinii innych. Potem zwykle jednak robił to, co sam uważał za stosowne. Nie tym razem, pomyślała.

- Koszty są za wysokie - odrzekł.

- A czy koszty mają znaczenie, skoro chodzi o to, żeby zaplanować nad epidemią? - wybuchnęła. - Zresztą nie mogą być aż tak wysokie. Przecież nie będziemy wszystkich pacjentów traktować jak śmiertelnie chorych. Wystarczy w osobnych salach położyć tych w mniej poważnym stanie, a personel z łatwością poradzi sobie z kilkoma osobami więcej, tym bardziej że nie ma potrzeby uruchamiać dla nich tych wszystkich gadżetów do ciągłej obserwacji. Bill! Musisz przyznać, że to, co mówię, jest bardzo rozsądne. Prosiłeś o pomoc i dostałeś ją, więc zacznij wreszcie słuchać dobrych rad.

Pielęgniarka śledziła tę dyskusję w osłupieniu.

- Doskonale nad wszystkim tu panujemy.

- Jasne, tylko ty wyglądasz jak wrak człowieka. A zresztą skąd wiesz, że panujesz nad sytuacją? Czy twój budżet jest ważniejszy niż ludzkie życie? Najprawdopodobniej ta odmiana dengi nie przenosi się przez krew, przynajmniej na pewnym etapie, ale tylko się rozejrzyj. Otwarte okna. Oczywiście, że świeże powietrze jest lepsze niż klimatyzowane, ale wystarczy, że wleci tu jeden komar, a potem ugryzie kogoś na ulicy. I ty mówisz, że wiesz, co robisz?

- Komary nie dolatują na szóste piętro. Przesadzasz. - Znow usłyszała w jego głosie lekceważenie, ale nie dawała za wygraną.

- Sam mi mówiłeś, że przy epidemiach należy przesadzać. W przeciwnym razie ludzie nie podchodzą do nich poważnie.

- Tu nie chodzi tylko o pieniądze. Na intensywnej terapii mamy zaledwie dziesięć łóżek. Jeśli położymy tam wszystkich pacjentów z dengą, co zrobimy z tymi, którzy naprawdę będą potrzebowali szybkiej akcji ratunkowej?

- Przecież większość mieszkańców ewakuowano. Zostali młodzi, zdrowi mężczyźni, którzy sprzątają gruzy, oraz wojsko, a wojsko ma swoje własne placówki lecznicze. Kto miałby potrzebować intensywnej terapii?

- Młodzi, zdrowi mężczyźni miewają wypadki! -Bill zirytował się na całego. Cholera, Esther powinna sobie zdawać sprawę, że to nie jest jego własny szpital. Zastępuje tu ordynatora i nie może ot tak sobie przeorganizować całej placówki. Przycisnął palce do pulsujących bólem skroni.

- Jeśli nawet dojdzie do wypadku, możesz położyć rannego na oddziale chorób serca. Na pewno taki tutaj macie, a tam jest praktycznie taki sam sprzęt jak na intensywnej terapii. Z wyjątkiem tego skomplikowanego systemu ochrony powietrza, który jest tylko na zakaźnym.

Ona ma rację, pomyślał. Jak to się stało, że sam na to nie wpadł? Może dlatego, że nigdy nie pracował w szpitalu na tyle długo, by dobrze orientować się w tym otoczeniu i sprawnie rozwiązywać problemy. Najpierw cyklon, ranni i zabici, potem wybuch epidemii dengi... Te wydarzenia nastąpiły po sobie tak szybko, że mógł tylko reagować, na planowanie nie miał już czasu.

- Zobaczmy tego nowego pacjenta, a potem załatwię to z dyrektorem szpitala - zgodził się wreszcie i szeroko otworzył oczy, widząc, że na twarzy Esther, zamiast triumfu, maluje się zakłopotanie.

- Oczywiście, musisz to najpierw załatwić, nie pomyślałam o tym. Przepraszam - powiedziała. - Zmagasz się ze wszystkim zupełnie sam, a ja wpadam tu i na dzień dobry mówię ci, co masz robić.

Esther przeprasza zamiast triumfować? To jakaś nowa cecha. Esther, której nie zna. Choć z drugiej strony czuł* że to jest właśnie ona. Tak boleśnie znajoma... O nie, nie ma zamiaru pakować się po raz drugi w to samo!

Odwrócił się gwałtownie. Kiedy na nią nie patrzył, czuł się pewniej.

Przez uchylone drzwi Esther zauważyła pacjenta. Leżał nieruchomo, skurczony na łóżku.

- Jak ich leczysz? - zainteresowała się, widząc, że obok leży drugi mężczyzna, podobnie blady i wycieńczony.

Bill patrzył w ścianę.

- Leczymy ich objawowo. Uzupełniamy płyny, przemywamy wysypkę i podajemy środki przeciwbólowe. Z tym ostatnim mamy największy problem. Aspiryna, którą podawalibyśmy normalnie, obniża gorączkę i łagodzi ból, ale ma również właściwości rozrzedzające krew, a my chcemy odwrotnego efektu. Zamiast niej używamy więc acetaminofenu.

- Przy dendze ból jest straszny. Kiedyś nazywali ją podobno „gorączką, która łamie kości”.

Bill przytaknął.

- Niestety, tak właśnie jest. Bóle występują zwłaszcza w kręgosłupie i stawach. Ale z acetaminofenem też mamy kłopot. Może powodować uszkodzenia wątroby, więc musimy bardzo uważać przy dawkowaniu. W najcięższych przypadkach podajemy kroplówkę, żeby zapobiec odwodnieniu, ale i tu jest problem. Chorzy krwawią z miejsc po wkłuciach, więc nie daje ona takich efektów, jak byśmy sobie życzyli.

- Czyli kroplówki używasz tylko w przypadku osób, które są za słabe, żeby połykać?

- Albo tych, które odwadniają się tak szybko, że nie można uzupełnić tych braków napojami. Na tym piętrze mamy także pacjentów, którzy mogą samodzielnie jeść, choć nie mają apetytu. Na intensywnej terapii karmimy wyłącznie przez kroplówkę.

Esther weszła do pierwszej sali i przyjrzała się czterem pacjentom. Leżący przy oknie chłopiec podniósł rękę i pomachał do niej. Podeszła do niego.

- Masz szczęście, że dostałeś łóżko koło okna z widokiem na ocean - powiedziała.

- Ja mieszkam niedaleko oceanu, chociaż to nie jest tak naprawdę ocean, tylko jego część. Nazywa się Morze Koralowe. Jesteś nową pielęgniarką? - Głos miał słaby, ale był zadowolony, że ma się do kogo odezwać.

- Nie, mam na imię Esther i jestem nowym lekarzem. Przyjechałam pomagać doktorowi Jacksonowi.

- Bill jest fajny - szepnął chłopiec, a Esther uśmiechnęła się lekko.

Dwa miesiące w Australii wystarczyły, by Bill zmienił swój stosunek do zdrobnień. Początkowo wyłącznie jej pozwalał nazywać się Billem, po tym jak uparła się, że nie może całować się z mężczyzną, który nosi takie poważne imię „William”. Natomiast jego matka, wszyscy znajomi i koledzy z pracy zawsze zwracali się do niego pełnym imieniem.

- Jak długo już chorujesz? - zapytała chłopca.

- Od wczoraj. Przedwczoraj bolało mnie gardło, trochę plecy i głowa. Ale nie chciałem martwić mamy, bo też źle się czuła.

Choroba rozwija się więc bardzo szybko. Coś jeszcze w tej rozmowie zwróciło uwagę Esther. Obiecała chłopcu, że zaraz wróci, i wyszła z sali. Zastała Billa przy biurku, nachylonego nad dokumentami, kompletnie ignorującego zalotne spojrzenia pielęgniarki.

O nie, przecież nie można być zazdrosną o eksmęża!

- Myślałam, że wszystkie kobiety i dzieci zostały ewakuowane - zwróciła się do Billa.

- Większość. Chodzi ci o Ryana? Należy do aborygeńskiej rodziny mieszkającej na obrzeżach miasta, tam, gdzie zniszczenia były najmniejsze. Nie chcieli wyjeżdżać, a ponieważ ich dom ocalał, pozwolono im zostać.

Zawiesił głos, a Esther domyśliła się, co mu chodziło po głowie.

- Uważasz, że teraz, gdy grozi nam epidemia, nie powinni już się wyprowadzać?

- Owszem, jeśli mamy tu nosiciela, to nie chcemy, by wyjeżdżał i dawał początek epidemii w nowym miejscu - Znużona twarz Billa rozjaśniła się nikłym uśmiechem. - Już wiesz, dlaczego potrzebuję epidemiologa. Chcę, żebyś znalazła źródło choroby i zatrzymała ją!, zanim zachoruje całe miasto.

- Na jaką pomoc mogę liczyć? - Esther postanowiła ignorować uśmiechy i trzymać się tematów związanych wyłącznie z pracą.

- Wojsko zapewni ci samochód i kierowcę. Zaczęto już akcję opryskiwania mokradel środkami owadobójczymi, ale to w gruncie rzeczy marna pomoc. Komary wylęgają się także w kałużach pod gruzami, a ich usuwanie potrwa jeszcze parę tygodni.

- Nowy pacjent czeka w piątce. - Zalotna pielęgniarka przypomniała im o celu wizyty. Bill ujął Es-ther za łokieć i pokierował w stronę właściwego pokoju.

- Ten nowy pacjent jest wujkiem chłopca, z którym rozmawiałaś. - Bill otworzył przed Esther drzwi. W pokoju siedział wysoki, chudy mężczyzna o skórze czarnej i lśniącej jak wypolerowane cedrowe drewno.

- Mówiłem już innemu lekarzowi, że nie chcę tu zostawać - oznajmił na wstępie. - Dajcie mi tylko lekarstwa. Boh mnie głowa i mam dreszcze.

- Bardzo się cieszę, że nie jest pan tak chory, żeby zostać w szpitalu - rzekła Esther uprzejmie - ale dobrze, że pan jednak do nas przyszedł. Chcemy zatrzymać rozwój tej choroby. Najpierw jednak musimy wiedzieć, co ją powoduje. Mogę zadać kilka pytań?

- Proszę bardzo. Wolę panią od tego Amerykanina - odparł, wskazując głową na Billa. - Ludzie mówią, że czasami trudno go zrozumieć. Niby mówi tym samym angielskim, ale jednak innym.

Esther uśmiechnęła się. Dawniej też miewała trudności ze zrozumieniem niektórych słów wypowiedzianych przez Billa ze śpiewnym południowym akcentem. Ale jego głos brzmiał przy tym tak pięknie, że nie dbała o sens zdań, bo samo słuchanie sprawiało jej przyjemność.

- Kiedy zaczął pan chorować? - To pytanie zadał Bill. Esther pospiesznie wyciągnęła z kieszeni notes.

- Wczoraj. - Esther zerknęła na tabliczkę z nazwiskiem przy łóżku i zapisała dane identyfikacyjne pacjenta: Harold Jenkins.

Bill przyglądał się stopom mężczyzny, gdzie w drugiej fazie choroby zwykle pojawiała się wysypka. Była tam, Esther dostrzegła ją także na rękach chorego.

- A czy przedtem nie czuł się pan kiepsko? Na przykład tydzień wcześniej?

Harold zastanowił się.

- W ten dzień, w którym był cyklon. Dziesięć dni temu. Bolały mnie nogi i plecy, ale przenosiłem wtedy meble i myślałem, że to od tego.

- A następnego dnia? - wypytywał Bill.

- Następnego dnia byłem cały połamany, bolało mnie gardło i stwierdziłem, że to grypa. Prawie tydzień spędziłem w łóżku.

Był to klasyczny przebieg choroby. Najpierw objawy zbliżone do grypy, potem dzień, dwa poprawy i wreszcie druga faza choroby, której pierwszym objawem jest wysypka.

- Dlaczego przyszedł pan do nas, skoro poczuł się pan lepiej? - zdziwiła się Esther.

- Niedawno umarł mój znajomy, a on miał wysypkę. Taką samą. - Harold pokazał stopę. - Zrobiła mu się na całym ciele, a potem umarł. Jeden z tych żołnierzy, którzy opryskują miasto, zobaczył moją wysypkę i przywiózł mnie do was.

- Czy ten znajomy był pana sąsiadem?

- Mieszkał obok, ale to o niczym nie świadczy. Jego żona żyje i nie chorowała nawet jednego dnia.

- Jedenastu na trzynastu naszych obecnych pacjentów to mężczyźni — tłumaczył jej potem Bill. - Nie udało mi się dojść, skąd

ta przewaga. Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, musiałem ich wszystkich leczyć.

- Z kolei w Ameryce Południowej większość przypadków to kobiety. Wiele epidemii dotyka też głównie dzieci, prawda?

Bill kiwnął głową.

- A u nas jest na odwrót. Sami mężczyźni. Plus ta niezwykła szybkość, z jaką choroba postępuje. Martwią mnie te wszystkie różnice, Esther.

- Zbyt wiele niewiadomych, a ty jesteś za bardzo zapracowany, żeby się nad nimi zastanawiać - zauważyła ciepło. - Ja się tym zajmę. Chciałabym zobaczyć teczki pacjentów i mapy regionu.

- Chodź ze mną.

Bill zaprowadził ją do małego gabinetu. Na ścianie wisiała wielka mapa Jamestown, a w jednym jej rogu wbitych było kilkanaście kolorowych pinezek. Na biurku leżała sterta teczek pacjentów.

- Każda pinezka oznacza chorego. Wbijalem je tam, skąd dana osoba pochodzi. Pracuję jako lekarz, ale pamiętaj, przede wszystkim jestem naukowcem - zaznaczył Bill i umieścił na mapie nowy czerwony punkcik: Harolda Jenkinsa.

- Wiem - burknęła Esther, zawstydzona tym, że nie doceniła Billa. - Nie sądziłam tylko, że znajdujesz czas na prowadzenie badań, zważywszy na liczbę ciężko chorych, którymi musisz się zajmować. - Nagle zawrzała w niej złość, której nie umiała wytłumaczyć. - Siedziałeś tu po godzinach, tak? Nic dziwnego, że wyglądasz jak cień. W ogóle o siebie nie dbasz! Co się stanie, jak w końcu wykończysz się i zasłabniesz? Kto zajmie twoje miejsce?

Bill stał przed nią, niewzruszony jej tyradą.

- Naprawdę, Esther? Naprawdę uważasz, że wyglądam okropnie? - zapytał cicho, odnosząc się do najmniej istotnego zdania w jej wypowiedzi. - To dziwne, bo ty w moich oczach jesteś piękna. Piękniejsza niż we wspomnieniach.

Komplement rozświetlił jej twarz i rozlał się miłym ciepłem w sercu. Ale tego, co nastąpiło potem, Esther nie spodziewała się zupełnie. Bill podszedł do niej i zanim zorientowała się, co zamierza, pocałował ją, a ona musiała wyteńczyć całą siłę woli, by tego pocałunku nie odwzajemnić.

RS

Rozdział trzeci

Jej wytrzymałość została wystawiona na ciężką próbę. Ciało błagało o doznania, o których istnieniu niemal zapomniało, zmysły brały górę nad rozsądkiem. Bliskość Billa, jego smak, zapach, ciepło skóry odbierały Esther wypracowane przez lata opanowanie i samodyscyplinę.

Ale Bill ożenił się z Marcie. I ma z nią dziecko.

Nie możesz. Nie.

Położyła dłoń na jego piersi i odepchnęła go, wycierając usta gestem pełnym furii, jak gdyby to miało usunąć z nich smak pocałunku.

- Nawet nie próbuj!- zagroziła. - Ani mi się waż! Patrzył na nią długo. Jego znużone niebieskie oczy

miały nieprzytomny wyraz, jakby jeszcze śnił.

- Nie, nie, nie będę. Może chcesz tu zostać? Przyjrzyj się mapie i teczkom albo porozmawiasz z pacjentami. Przyjdę po ciebie potem.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, złość Esther u-stąpiła miejsca rozczarowaniu. Więc jednak usłuchał jej i odszedł? Na próżno zaprzeczała, wypierała się tego sama przed sobą - pragnęła, by całował ją nadal, odczuwała potrzebę graniczącą z fizycznym bólem, by go objąć, dotknąć, przytulić.

Obiecał, że już nie spróbuje ponownie jej pocałować. Może jednak nie dotrzyma słowa? Wątpliwe. Bill wywiązuje się z obietnic. Bill jest człowiekiem honoru. Jej Bill.

Wcale nie jej.

Czy kiedykolwiek naprawdę takim był? Fakt, że ożenił się z Marcie - i to krótko po ich rozstaniu - dowodził, że zawsze raczej należał do tamtej kobiety, a ona, Esther, była w jego życiu tylko epizodem.

Odwróciła się do mapy. Większość czerwonych pinezek była zgromadzona w jednym obszarze. Zaledwie kilka znajdowało się w innych punktach miasta, znacząc mapę kropkami podobnymi do rozprysniętych kropli krwi.

Przysunęła się bliżej i zauważyła, że pod każdą pinezką Bill wpisał numer. Nagle uśmiechnęła się. Prawdziwy z niego profesjonalista. Numery oznaczały kolejność, w jakiej pacjenci zostali przyjęci do szpitala. Pinezki rozrzucone po całym mieście były najwcześniejszymi przypadkami - czwórką, siódmką, ósemką, tych zgrupowanych razem naliczyła około trzydziestu. To dobry znak. Gdyby te rozrzucone po mieście były numerami ostatnimi, oznaczałoby to, że choroba się rozprzestrzenia.

Bill wykonał podstawowe zadania, za które zamierzała się zabrać. Co teraz? Esther usiadła przy biurku, odsunęła wszystkie te czki na bok, tak, by oprzeć łokcie na blacie i położyć na nich głowę. Emocjonalna huśtawka ostatnich kilku godzin wysała z niej całą energię. Postanowiła chwilę posiedzieć w spokoju i pomyśleć.

W radiu nadawano komunikat z prośbą do mieszkańców o noszenie ubrań ochronnych i stosowanie środków na komary. Dlaczego nikt nie wymyślił środka na miłość? Czegoś w aerozolu, co zablokuje wszystkie komórki, by nie reagowały na obiekt uczuć. Albo chociaż tabletkę powstrzymującą żołądek od skurczów, a

serce od raptownych podskoków. Cokolwiek, co pozwoliłoby jej nie zakochać się w Billu ponownie. Nie, nie ponownie. Co pozwoliłoby jej przestać go nadal kochać.

Spała tak smacznie, że nie miał serca jej budzić. Musiała być bardzo zmęczona, skoro zasnęła w takiej pozycji...

Bill oparł się o kłamekę, patrząc na tył głowy Esther, łagodną okrągłość policzka, długie rzęsy, czarne jak piórko kosa. Pokręcił głową i pomyślał o dziecku, które Esther straciła. Które stracili oboje.

Byli zachwyceni, gdy zaszła w ciążę. Szczerze mówiąc, zachwycało go wszystko, co robiła, odkąd tylko ją poznał, a fakt, że jego miłość została odwzajemniona, wydał mu się cudem. Potem jednak okazało się, że niełatwo jest ją kochać. Wychowana w domach zastępczych, była nieufna wobec miłości, wciąż czujna, pełna obaw, że lada chwila sielanka się skończy. Wątpiła w stałość jego uczuć, potrafiła w mgnieniu oka przeskoczyć od największej czułości do chłodu i dystansu, ukrywała emocje, jakby chciała udowodnić, że skoro ich nie widać, to nie istnieją. Wiedział, że to strategia obronna, ale czasami gubił się w tym wszystkim.

- Jak długo tu jesteś? - spytała znienacka. Zamyślił się tak bardzo, że nie zauważył momentu jej przebudzenia.

- Może dwie minuty - odparł. Esther przecierała twarz rękami. Znał dobrze ten gest, robiła tak zazwyczaj, gdy się budziła. Przypomniało mu to, o czym myślał wcześniej. - Czy nie przyszło ci do głowy, że ja też straciłem to dziecko?

Jej zaczerwienione od tarcia policzki pobladyły, a Bill momentalnie pożałował tego, co powiedział.

- Oczywiście! - dosłownie wypluwała z siebie słowa. - Sądzisz, że byłam tak zrozpaczona, że nie pomyślałam w ogóle o tobie? Przywykłam do tego, że tracę różne rzeczy. Przyzwyczaiałam się, że nie mam nic. Ale ty, ty miałeś wszystko. Miałeś idealne życie. I byłeś doskonały, przynajmniej w moich oczach. A ja cię zawiodłam. Straciłam twoje dziecko.

W jej spojrzeniu było tyle bólu, że Bill ledwie je wytrzymawał. Już chciał jej dotknąć, pocieszyć, gdy znów zaczęła mówić.

- Pamiętasz, jak dekorowałam dom na święta? Wiesz, dlaczego zajmowałam się czymś tak idiotycznym? Bo byłam samolubna. Po raz pierwszy w życiu miałam dom, miejsce, które mogłabym przystroić. Na złoto i biało. Chciałam, żeby sen, który śniłam od dawna, wreszcie się spełnił. Mój sen, Bill, mój własny, samolubny sen.

Wstała i wypadła z pokoju jak burza, spychając go z drogi. Na jej twarzy nie dostrzegł łez, ale wiedział, że Esther nigdy nie płacze. W każdym razie nie przy ludziach. Wszystkie jej łzy były gdzieś wewnątrz, głęboko ukryte.

Gdy wrócił do dyżurki, odkrył, że wcale nie uciekła daleko. Stała tam, wciągając gumowe rękawiczki, z maską na szyi gotową do nałożenia.

- Rozmawiałeś już z dyrektorem? - zapytała spokojnie, zupełnie jakby całe zajście w ogóle nie miało miejsca.

- Nie jest zachwycony, ale przyznał, że skoro na intensywnej terapii mamy już czterech pacjentów z dengą, to dołączenie reszty do nich jest propozycją do przyjęcia.

- Świetnie. - Esther uśmiechnęła się, a on z podziwem przypomniał sobie, jaka potrafiła być zawsze profesjonalna, bez

względu na to, co działo się w jej życiu prywatnym. - Kiedy ich przenosimy?

- Na pewno nie teraz!

Esther wyraźnie usłyszała znużenie w głosie Billa. Ukłuło ją poczucie winy. Jak mogła przed chwilą urządzać mu sceny hysterii z powodu jakiejś wzmianki o przeszłości, skoro on ma na głowie umierających ludzi?

- Jasne, że nie teraz — odparła. - Słuchaj, powinieneś iść do domu i pobawić się z dzieckiem, zanim pójdzie spać. Ja obejrzę resztę pacjentów: tych tutaj i tych z intensywnej terapii, żeby się zorientować w sytuacji. Zjem coś w bufecie, jeśli jeszcze będzie otwarty. A potem wrócę do domu. Dałbyś mi swoje klucze? Wtedy nikomu bym nie przeszkadzała, nawet jeśli będę późno.

- Chyba że poproszę mamę, żeby ci otworzyła. - Na ustach Billa zagrał słaby uśmiezek.

- Skoro tak będzie lepiej... - Nigdy nie umiała się oprzeć jego uśmiechowi. Także i teraz. Niestety, ona na Billa tak nie działała, bo oto kąciki jego ust opadły, a twarz przybrała wyraz wyzuty ze wszelkich emocji.

- Na dziś mam dosyć - przyznał - ale nie powinnaś chodzić sama po ulicach. Tu jest raczej bezpiecznie, ale nieprzyjemnie, bo większość lamp nie działa. Weź kluczyki do auta. Ten mały żółty klucz jest do mieszkania.

Dotyk jego palców podziałał na nią elektryzująco nawet przez gumowe rękawiczki.

- Mieszkasz z Billem? - zainteresowała się pielęgniarka, gdy już zostały same.

- Zakwaterowali mnie z nim i jego matką - wyjaśniła Esther, starając się mówić rzeczowo i obojętnie.

- Ale z ciebie szczęściara - westchnęła pielęgniarka. - Każda kobieta w tym szpitalu szaleje za nim. Te ciemne włosy i niebieskie oczy... Ach, takiemu połączeniu trudno się oprzeć. A głos! Jak go słyszysz, zaczynasz myśleć o pachnącej bzem nocy, świetle księżycy i miłości. Ten człowiek czaruje mnie głosem, jak chce i kiedy chce.

- Ale jest żonaty i ma dziecko - ucięła Esther, ponieważ powiedzenie czegokolwiek wydało jej się lepsze niż uduszenie tej kobiety. - Czy jest tu ktoś, kto mógłby mnie oprowadzić po salach? Chciałabym zobaczyć pacjentów.

Pielęgniarka rzuciła jej ponure spojrzenie i zadzwoniła po pielęgniarza, który nazywał się Weller.

Wkrótce pojawił się wysoki chudzielec z krótkimi, kręconymi włosami, którego ciemne oczy i skóra zdradzały aborygeńskie korzenie. Miał na imię Adam. Esther, która podejrzewała, że w niej samej płynie domieszka krwi rdzennych Australijczyków, momentalnie poczuła do niego sympatię.

Zaprowadził ją do dwuosobowej sali, w której jeszcze nie była.

- Dobrze, że jest tu lekarz - rzekł po drodze. – Nie podoba się mi się Len Risk. Przedtem, kiedy Bill go oglądał, czuł się dobrze, ale jego stan bardzo szybko się pogorszył. Ma krew w stolcu. To albo krwawe wymioty są u nich wszystkich pierwszym objawem krwotoków wewnętrznych.

- Jak Bill to leczy? - zapytała Esther, zastanawiając się, czy w ogóle jakakolwiek kuracja jest w tym momencie skuteczna.

Wszelkie leki mogą tylko podrażnić narządy wewnętrzne i zwiększyć krwawienie.

Jak wyjaśnił Adam, Bill głównie skupiał się na uzupełnianiu płynów w organizmie i kontrolowaniu równowagi elektrolitowej.

Wystarczył jeden rzut oka, by zrozumieć, dlaczego pacjent wzbudził zaniepokojenie Adama. Ręce i stopy miał zimne i bezwładne, skórę wokół ust siną. Esther zauważyła, że żyła, w której znajdowała się igła kroplówki, zapadła się. Trzeba włożyć się na nowo.

- Zabierzmy go na intensywną terapię. Tam przygotujemy mu drugą kroplówkę.

Adam wyglądał na zaskoczonego i wymamrotał coś o uzgadnianiu takich decyzji z Billem.

- Bill poszedł do domu - ucięła Esther. - Jeśli do niego zadzwonimy, zaraz tu przybiegnie i zapewne zostanie. Ostatnią rzeczą, jakiej mu trzeba, jest kolejna nieprzespana noc. Ja tu jestem i ja wydaję polecenia. Jutro i tak wszyscy pacjenci zostaną przeniesieni na intensywną terapię, więc ten pan znajdzie się tam tylko o dwanaście godzin wcześniej niż reszta.

Dwie pielęgniarki z intensywnej terapii, noszące imiona Janet i Jill - jak Esther odczytała na identyfikatorach - nie były zachwycone, że przybywa im podopiecznych, ale bez sprzeciwu zakrzętały się, by pomóc pacjentowi.

- Naszym zadaniem jest przede wszystkim zapobiegać zapaści naczyniowej - tłumaczyła im Esther - a więc najwięcej uwagi będziemy poświęcać uzupełnianiu płynów i elektrolitów. Widzicie te czerwone plamki na skórze pacjenta? Pękają mu naczynka krwionośne. To samo dzieje się w jego organizmie. W karcie jest zapi-

sana grupa krwi. Kiedy już założycie mu kroplówkę, upewnijcie się, że mamy zapas krwi oraz płytek na wypadek transfuzji.

Pielęgniarki pospieszyły wypełnić polecenia, a Esther dokończyła oględzin chorego. Obawiała się, że krwotok wewnętrzny może okazać się zbyt silny. Wraz z ubytkiem krwi zmniejsza się ilość tlenu dostarczanego do mózgu, gdy zaś mózg nie otrzymuje odpowiedniej dawki tlenu, stopniowo zamiera praca organów wewnętrznych i pacjent zapada w śpiączkę.

Skuteczniejszy od kroplówki jest cewnik dożylny, umiejscowiony w głównej arterii blisko serca i płuc.

- Czy Bill korzystał z cewników dożylnych? - zapytała.

- Tak, używał wielokanałowych cewników pod-
obojczykowych.

Esther zrezygnowała z kroplówki i założyła choremu cewnik, który pozwalał dostarczać do krwioobiegu jednocześnie leki i konieczne do życia płyny.

- Wiem, że podobne procedury stosujecie przy innych pacjentach, ale na wszelki wypadek przypomnę

- powiedziała do Janet i Jill. - Każdy przewód proszę przemywać po użyciu, a cały cewnik co dwanaście godzin przepłukiwać roztworem heparyny. Opatrunek zmieniamy codziennie. Zapiszę to wszystko w karcie pana Riska, ale byłabym wdzięczna, gdybyście przekazały te informacje następnej zmianie.

Ciekawiło ją, w jaki sposób Bill leczy chorych w dalszym stadium choroby. Kiedy podaje im płytki krwi, konieczne do zwiększenia krzepliwości? A kiedy pełną krew, by uzupełnić tę utraconą na skutek krwotoku?

Szczegółowe dane dotyczące leczenia poprzednich pacjentów znajdowały się w komputerze. Postanowiła je przejrzeć.

- A jakie masz hasło? - zapytała ją pielęgniarka.

- Hasło?

- Bez hasła nie można odczytać danych - wyjaśniła Janet. - To informacje poufne. Nie dali ci go przy wydawaniu identyfikatora? - Spojrzała na fartuch Esther i zmarszczyła brwi. - Nie masz identyfikatora? W takim razie chyba w ogóle nie powinnaś się tu znajdować - dodała niepewnie, najwyraźniej nie wiedząc, jak się teraz zachować.

- Jestem epidemiologiem przysłanym tu z Brisbane. Oficjalnie zaczynam pracę dopiero jutro - wytłumaczyła Esther. - Zakwaterowano mnie u Jacksonów. Akurat w momencie, w którym przyjechałam, wezwano Billa do nowego pacjenta. Bill zabrał mnie ze sobą i zostawił, żebym zapoznała się ze szpitalem.

Pielęgniarka wciąż miała powątpiewającą minę.

- Nie mogę podać ci mojego hasła.

- Nie ma sprawy - odparła Esther spokojnie. - Jeśli mi nie wierzysz, sprawdź, proszę, w dyżurce na szóstym piętrze. Potwierdzą, że przyprowadził mnie Bill. Czy pozwolisz mi chociaż spojrzeć na teczki?

- Skoro przyszedł do nas z pacjentem, myślę, że wszystko jest w porządku - wycofała się Janet. - Ale hasło musisz sobie załatwić jutro.

Z teczek pacjentów, które w końcu jej udostępniono, Esther dowiedziała się, że Bill ordynował podawanie płytek krwi w momencie, gdy pacjentom spadało ciśnienie, ponieważ ten objaw oznaczał zwykle początek gorączki krwotocznej. Skupiła się na

czytaniu tak bardzo, że gdy spojrzała na zegar, było już po północy.

- Dotąd zmarło trzech pacjentów - poinformowała ją Janet. - Ale tylko jeden u nas. Pozostali umarli na innych oddziałach, zaraz po przyjęciu, zanim ktokolwiek zorientował się, co się dzieje. Wtedy właśnie Bill przejął kontrolę nad sytuacją.

- Czyli odkąd się tym zajmuje, straciliście tylko jedną osobę - powiedziała Esther. - Gdzie jest jej karta?

W tym momencie wpadła druga siostra.

- Ciśnienie pana Riska spada. W takich sytuacjach mamy wzywać doktora Jacksona.

- W takim razie już wiem, dlaczego chodzi taki niewyspany - skwitowała Esther. - Nie ma mowy. Ja się tym zajmę. Jest tu jakiś lekarz na dyżurze? Przyprowadźcie go. Może kontrolować wszystko, co robię. Przypomnijcie mu tylko o rękawiczkach i stroju ochronnym.

Rozdział czwarty

Udała się prosto do sali, w której leżał pan Risk. Przygotowywała właśnie dla niego worki z płytkami krwi, gdy drzwi za jej plecami otworzyły się z miękkim szmerem. Nie musiała się odwracać, by zgadnąć, kto wszedł.

Zdyszany i rozczochrany Bill.

- Nie waż się lekceważyć moich zaleceń wobec personelu - mruknął jej do ucha, przybliżając się, by nikt nie słyszał. - Nigdy! Rozumiesz?

Nie było to odpowiednie miejsce na kłótnie. Esther wręczyła Billowi worek z płytkami.

- Dobrze. Rób, co chcesz.

Wyszedłszy z sali, podeszła prosto do biurka, przy którym siedziały pielęgniarki. Jill na widok Esther spuściła oczy.

- Miałśmy się z nim skontaktować, takie było polecenie - wytłumaczyła.

- Świetnie - warknęła Esther, w skrytości ducha zadowolona, że ma na kim wyładować złość. - Mam nadzieję, że już zaczniesz się zastanawiać, co powiesz jego córce za dziesięć lat, kiedy Bill umrze. Wyjaśnisz jej, że skończył z wycieńczenia, ponieważ skrupulatnie przestrzegałaś jego poleceń?

Odwróciła się na pięcie i odeszła, zdzierając z twarzy maskę i ochronne okulary. Udała się na szóste piętro, aby jeszcze raz spojrzeć na mapę i przejrzeć kolejne teczki z dokumentacją pacjentów. Czy w tym pokoju jest kanapa? Mogłaby się na niej zdrzemnąć, a rano odebrać walizkę od Billa i znaleźć sobie inne mieszkanie.

A Bill niech idzie do diabła.

Pojawił się w momencie, gdy dopasowywała teczki do poszczególnych numerków pinezek na mapie.

- Wiem, że miałaś dobre intencje - zaczął - ale...

- Ale nic - przerwała. - Poprosiłeś, żeby przysłali ci z Brisbane pomoc i czy sobie tego życzyłeś, czy nie, przysłano ci mnie. Postępowałam dokładnie według procedur, które stosowałeś. Pana Riska przeniosłam na intensywną terapię, gdy zaczął zdradzać objawy krwotoku. Leczyłam go w taki sam sposób, w jaki ty leczyłeś innych. Nie możesz tu być dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli nie umiesz zaakceptować mnie jako zastępcy, znajdź sobie kogoś innego, komu ufasz. Niech zajmie moje miejsce.

- Czy my zawsze się tak kłóciliśmy, Esther? Nie przypominam sobie - powiedział cicho. - A dziś krzyczymy na siebie od momentu twojego przyjazdu.

- Wcale nie krzyczę! - oburzyła się. - To, co działo się w przeszłości, nie ma teraz znaczenia. A to, że skaczesz tak z tematu na temat, dowodzi tylko, że jesteś przemęczony i nie możesz skoncentrować się na pracy. Jak się miewa pan Risk? Przyznasz chyba, że dobrze zrobiłam, przenosząc go?

Bill potrząsnął głową, a potem po przerwie, która sugerowała, że długo rozważał odpowiedź, odparł:

- Oczywiście, że postąpiłaś właściwie. Ale i ty wyglądasz na zmęczoną. Dla ciebie to też był długindzień. Wróć do domu, dałem ci przecież klucze. Ja zdrzemnę się w dyżurce.

- W której sypiasz zapewne od dnia, kiedy to się zaczęło - prychnęła Esther. - Potrzebujesz porządnego snu, Bill. We własnym łóżku. Idź. Ja zostanę.

Zaburczało jej w żołądku. Zupełnie zapomniała o jedzeniu. Bill uśmiechnął się lekko.

- W dyżurce jest lodówka, a w niej kanapki. Na pewno dasz tu sobie radę? - Ostatnie zdanie wypowiedział tak miękko i ciepło, że pod Esther ugięły się kolana, choć jeszcze przed chwilą przysięgała sobie, że nic, co Bill zrobi lub powie, nie wyrze na niej wrażenia.

- Jasne, że tak. Idziesz czy nie? - Hardo podniosła głowę.

Zawahał się i przez sekundę wydawało jej się, że znów ją pocałuje. Tak! Tak! - zakrzyczało w sercu zdradzieckie pożądanie. Już miała się odwrócić, by mu nie ulec, gdy Bill rzucił lekko:

- Cóż, w takim razie do zobaczenia jutro. Czy też raczej do zobaczenia dzisiaj.

Wciągnęła głęboki oddech, a kiedy wyszedł, czym prędzej udała się na oddział intensywnej terapii, nie dając sobie czasu na rozmyślenia o zawiedzionych nadziejach. Pan Risk miał się trochę lepiej. Jill i Janet siedziały, obserwując monitory. Młoda praktykantka chłodziła wilgotną gazą twarz pana Armstronga, kolejnego z najcięższej chorych.

Zapytała pielęgniarkę, czy może skorzystać z Internetu. Niepokoił ją pogarszający się stan pana Armstronga. Bill nie wybaczyłby jej śmierci pacjenta.

Zaczęła przeglądać serwisy medyczne w poszukiwaniu nowych informacji o dendze. Jak zwykle skończyło się na tym, że zebrała ich mnóstwo, przy czym żadna nie była użyteczna. Może raczej powinna szukać sposobów na gorączkę krwotoczną niż na dengę? Cztery godziny później wciąż siedziała przy komputerze i wciąż nie mogła znaleźć niczego odkrywczego, ale pan Armstrong jakoś się trzymał. Poczowała ulgę - przetrwał wczesne poranne godziny, kiedy pacjenci najczęściej umierają.

Ona sama czuła się zmęczona, spocona i marzyła o prysznicu. Na oddziale pojawiła się nowa zmiana pielęgniarów.

- Bill dzwonił. Pytał o stan pacjentów i mówił, że już jedzie - oznajmiła jedna z nich.

Esther uznała, że to dobry moment, by odpocząć. Postanowiła pojechać do mieszkania Billa, wykapać się i przespać. Przeprowadzkę odłożyła na później. Myśl o prysznicu była zbyt kusząca.

- Fatalnie się złożyło, że wzięłaś samochód Williama - rzekła Gwyneth na powitanie. Stała w progu z Chloe w ramionach, a dziecko uśmiechało się i gruchało do Esther, jak gdyby zachwycone faktem, że ma kogo kokietować.

- Przepraszam - wymamrotała Esther, wyciągając klucze w stronę matki Billa. - Weź je, nie potrzebuję samochodu. Mogę chodzić do pracy piechotą.

- Bill dał ci swój samochód, a wziął mój, z fotelikiem dla dziecka. Muszę teraz jechać po zakupy, a skoro nie mam jak zabrać Chloe, musisz jej popilnować. Mam nadzieję, że nic jej się w tym czasie nie stanie.

Ostatnie zdanie zawierało okrutną aluzję do przeszłości, którą Esther dobrze pojęła. Gwyneth wepchnęła dziewczynkę w jej ramiona, wzięła torebkę i nie oglądając się za siebie, wymaszerowała za drzwi.

Czując w objęciach ciepło i miękkość małego ciała, Esther musiała wyteńczyć całą siłę woli, by nie poddać się nagłej fali żalu, jaką zalało ją wspomnienie dziecka, którego nigdy nie urodziła. Żałosne miauknięcie sprawiło, że spojrzała na istotę, którą trzymała na rękę. Na widok drżącej bródki i oczu wypełniających się łzami zapomniała o własnym nieszczęściu.

- No, kochanie, wszystko w porządku - szepnęła, kołysząc Chloe w ramionach. - Będę się tobą opiekować. Babcia poszła tylko do sklepu, zaraz wróci. Ja jestem Esther, stara przyjaciółka tatusia. Zobaczysz, będzie nam razem dobrze.

Szepecząc uspokajająco, weszła w głąb mieszkania w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby zająć dziewczynkę.

- Muzyka, zabawki. Jakie płyty tatuś tu ma? Chodź, poszukamy czegoś ładnego, a potem usiądziemy na podłodze i się pobawimy.

Znalazła swój ulubiony koncert Bacha i wsunęła płytę do odtwarzacza. W wiklinowym koszu w kącie pokoju dostrzegła zabawki. Jak się właściwie bawić z takim dzieckiem? Czy trzeba wyciągnąć tylko jedną zabawkę, czy może kilka naraz? Nie miała pojęcia, bo unikała koleżanek, które miały dzieci. Wybrała kolorową harmonijkę z miękkimi klawiszami, które Chloe mogła przyciskać. Dziewczynka natychmiast zademonstrowała biegłość w posługiwaniu się instrumentem, wydobywając z niego kakofonię piskliwych dźwięków.

Przynajmniej nie zasnę, pomyślała Esther, ale dziecku zabawka szybko się znudziła, toteż musiała wyjąć z kosza następną, potem następną...

- Mamo, jesteś? Przyjechałem zamienić się na samochody, bo chciałaś jechać po zakupy! - Bill wpadł do salonu i dopiero gdy nie usłyszał odpowiedzi, zorientował się, że w mieszkaniu panuje niczym nie zmaconą cisza.

Potem zobaczył rozrzucone na podłodze zabawki, a wreszcie - skulony kształt. Esther spała oparta o kanapę, jedną ręką tuląc do siebie śpiącą Chloe.

Patrząc na tę parę, Bill poczuł wzruszenie tak intensywne, że musiał przełknąć ślinę, bo w gardle nagle urosła mu wielka gula. Rozczulenie zaraz zostało zastąpione przez irytację. Oczywiście jasne, co się stało: jego matka postanowiła jechać po zakupy i swoje postanowienie zrealizowała, kompletnie nie biorąc pod uwagę faktu, że Esther nie miała czasu się tej nocy położyć.

Po raz drugi w ciągu dwunastu godzin zastawał Esther uśpioną. I znów, na chwilę, pozwolił sobie na kontemplację jej drobnej postaci, skulonej obok dziecka. Nie chciał jej przestraszyć, wołając ją po imieniu czy potrząsając nią. Powrzucał zabawki do kosza, trzaskając nimi w nadziei, że to ją obudzi. Ale nie, Chloe i Esther spały dalej, nieświadome jego obecności.

Był zadowolony, że posprzątał przed powrotem matki. Nie lubił bałaganu, a do wszczęcia kłótni z Esther wystarczyła jej najbliższy powód. Zawsze uważała ją za obcą. Kiedy się pobrali, pochodzenie Esther było w oczach matki jedną z najpoważniejszych jej wad. Gwyneth nie uznawała nikogo, kto nie urodził się

w Stanach Zjednoczonych. A może po prostu chodziło o to, że zawsze wołała Marcie...

Bill westchnął i osunął się na kanapę. Musi wracać do pracy. Delikatnie pogładził ramię Esther. Skóra pod jego palcami była gładka i miękka. Po raz kolejny doświadczył dziwnego uczucia bliskości, którego nie zniszczył ani upływ czasu, ani jego drugie małżeństwo. To nie było elektryzujące pożądanie, raczej coś trudniejszego do zdefiniowania. Nie impuls, ale jakby krąg magnetyczny oddzielający ich od świata, zamykający się wokół nich, oczarowanych sobą. Tak przynajmniej czuł się do czasu, gdy stracili dziecko. Ich miłość rozpadła się, bo Esther nie umiała sobie wybaczyć, nie pozwalała się pocieszyć i nie potrafiła ukoić jego bólu...

- No, obudź się. Musisz się normalnie wyspać. Wykąp się i idź do łóżka. W szpitalu jest żłobek dla dzieci lekarzy. Zabiorę Chloe, uwielbia tam chodzić.

Rzęsy Esther zatrzepotały, powieki uniosły się i ciemne tęczaówki spojrzały na niego nieprzytomnie. Usiłuje sobie przypomnieć, co tu robi? Nie wie, gdzie się znajduje? Oby tylko nie zastanawiała się, kim on jest...

Ale w tym momencie Esther uśmiechnęła się i szepnęła „Bill” zdziwionym, ale ciepłym głosem, tak jak gdyby nie wiedziała, skąd się wziął, ale cieszyła się, że go widzi.

Nie oszukuj się, pomyślał. Za sekundę wszystko sobie przypomni i odepchnie cię tak jak wczoraj, gdy próbowałaś ją pocałować. Jego dobry nastrój nagle prysnął. Bill odwrócił się od Esther, podniósł ostrożnie Chloe, zastanawiając się, co dla niej zabrać do żłobka.

I trzeba jeszcze zostawić kartkę do mamy...

Esther usiadła, ścierając z twarzy resztki snu. Zobaczyła, jak Bill unosi dziecko, które otworzyło oczy i uśmiechnęło się do niej.

Nie uśmiechaj się, miała ochotę powiedzieć. Nie wiesz, jak bardzo bołą mnie takie uśmiechy? Ale Chloe już na nią nie patrzyła, teraz wyciągała rączkę ku twarzy ojca, łapiąc go za nos i wydając radosne dźwięki. Esther nie mogła się powstrzymać, by nie zadać pytania, które dręczyło ją od chwili przyjazdu.

- O co ci chodziło, kiedy powiedziałaś, że nie wiesz, czy jesteś żonaty czy nie? Czy Marcie nie chciała przyjechać do Australii? Zagroziła, że się rozwiedzie, jeśli pojedziesz? Nie mogę uwierzyć, że ktoś, kto wydał na świat takie śliczne dziecko, nie chce z nim być i patrzeć, jak rośnie.

Twarz Billa, jeszcze przed chwilą rozpromieniona, stężała, gdy skierował wzrok na Esther. Poczowała bijący od niego chłód.

- Za dużo zadajesz pytań, Esther. Nawet gdybym umiał na nie odpowiedzieć, to nie zrobiłbym tego teraz. Ja muszę wracać do szpitala, a ty powinnaś się położyć.

Wyszedł z pokoju, zostawiając Esther zmęczoną, ale skonsternowaną, zagubioną w sprzecznych informacjach.

Nic jej się nie układało w całość.

- Bill? To nie są trudne pytania. - Znalazła go w pokoiku dziecięcym, gdy zmieniał Chloe pieluszkę.

- Od zawsze to ja zajmowałam się Chloe. Moja mama, rzecz jasna, mi pomagała. Próbowałam wynajmować opiekunki, ale pierwsza systematycznie nas okradła, a druga spała sobie w najlep-

sze, podczas gdy Chloe, w gorączce, darła się wniebogłosy. Wtedy mama wkroczyła do akcji.

Obejrzał się i popatrzył na Esther, dla której cała historia zawierała wciąż zbyt wiele niewiadomych. Czy jego żona, owa doskonała Marcie, w ogóle z nim nie zamieszkała? Ale czy to ma znaczenie? Rozsądek podpowiadał jej, że nie, małżeństwa przybierają przecież najróżniejsze formy, ale w jej sercu pojawiła się nadzieja.

Głupia nadzieja. Nadzieja na co?

- Nie dałbym sobie rady bez mamy - dodał. Esther dobrze go rozumiała. Gwyneth ze swoim

uporem, nakazami i zakazami była irytująca, a jej zachowanie odstraszało od niej wszystkich poza naj-wytrwałszymi przyjaciółmi, ale miała też zalety: zawsze spieszyła na pomoc synowi, gdy tylko jej potrzebował. Esther widziała, że Chloe jest zadbana i żyje w poczuciu bezpieczeństwa i miłości ze strony dwojga dorosłych, którzy przy niej byli.

- Na pewno chcesz zabrać to dziecko do żłobka?

- Ono ma na imię Chloe - odpowiedział, zręcznie unosząc dziewczynkę i sadzając ją sobie na biodrze.

Esther otworzyła szeroko oczy.

- O co ci chodzi, Bill?

- Boisz się nazywać ją po imieniu? Boisz się, że jeśli za bardzo się do niej zbliżysz, to w twoim pancerzu, w który uzbroiłaś się trzy lata temu, zrobi się szczelina?

Musiała przyznać mu rację.

- Specjalizujesz się też w psychologii, Bill? - Atak jest najlepszą formą obrony. - Nie widziałeś mnie przez trzy lata i świetnie wiesz, co czuję? Pancierz! Aleś sobie wymyślił!

- Wymyśliłem?

Chloe odwróciła głowę do ojca, a widząc obok Esther, uśmiechnęła się. Esther niemal usłyszała metaliczny stuk. Każdy uśmiech Chloe robił małą dziurkę w jej panczerzu. Ale ona nie może jej pokochać, a potem stracić, stracić drugiego dziecka Billa! W końcu będzie musiała wrócić do Brisbane, a on wyjedzie z powrotem do Stanów. Do żony, która jest, albo i nie jest, częścią jego życia.

- Cóż, skoro Chloe ma opiekę, pójde się wykapać i przespać. Nastawię budzik na południe. Czy mógłbyś, proszę, znaleźć dla mnie kierowcę? O pierwszej? Chciałabym wybrać się tam, skąd pochodzi większość pacjentów.

- Ubierz się i starannie posmaruj środkiem na komary - przypomniał jej Bill. Zawahał się, jakby chciał coś jeszcze dodać, wreszcie odwrócił się i wyszedł.

Ale wyraz jego oczu na długo pozostał z Esther. Był w nich jakby ból i coś w rodzaju prośby. Bill nie był jednak typem, który o cokolwiek prosi, więc uznała, że to wszystko po prostu jej się przywidziało.

Krótką drzemką tylko pogorszyła samopoczucie Esther. Musiała wziąć zimny prysznic, aby stanąć na nogi.

Kiedy się zbudziła, w mieszkaniu było cicho, więc uznała, że Gwyneth jeszcze nie wróciła. Jednakże gdy weszła do kuchni w

poszukiwaniu czegoś do jedzenia, znalazła kartkę od byłej teściowej z informacją, że lunch czeka w lodówce.

Zaskoczona tym przyjaznym gestem, otworzyła lodówkę i zobaczyła w niej smakowicie wyglądającą sałatkę. Akurat kończyła zmywać po sobie talerz, gdy ktoś zapukał do drzwi. Otworzywszy je, ujrzała wysokiego, przystojnego blondyna w doskonale dopasowanym mundurze.

- Szanowna pani doktor Shaw? - Zasalutował przy tych słowach, a Esther omal się nie roześmiała.

- Mam na imię Esther - powiedziała. - Nie znam się na stopniach wojskowych i nie umiem odczytać rangi z tych pasków, które pan ma na ramieniu. Jak mam się do pana zwracać?

- Sierżant Randall! - Młody człowiek dosłownie wyszczał te słowa. Esther spojrzała na niego rozbawiona, zastanawiając się, czy w wojsku żołnierze mają jakieś specjalne zajęcia, na których uczą się mówić w ten specyficzny sposób - ostrymi, urywanymi sylabami.

Nie skomentowała tego jednak, pamiętając, że ten człowiek będzie jej towarzyszem przez najbliższe dni, a zatem warto pozostawać z nim w jak najlepszych stosunkach.

- Chciałabym jeszcze wpaść do szpitala po mapy i dokumentację. Potem pojedziemy tam, gdzie epidemia się zaczęła. Zna pan dobrze tutejszą okolicę, sierżancie?

- Znam dobrze, proszę pani - zapewnił sierżant Randall, przyciskając guzik przywołujący windę. - I tak miałem rozkaz zabrać panią najpierw do szpitala.

Rozkaz? Kto go wydał? Esther pomyślała o Billu, ale wydało jej się to idiotyczne. Po co miałyby to robić?

Chciał sprawdzić, dokąd jedzie i czym się będzie zajmować?

Przed budynkiem żołnierze otworzyli przed nią tylne drzwi nowego modelu SUV-a.

- Jest pan moim pomocnikiem, nie szoferem. Siadę z przodu - oznajmiła Esther.

Sierżant Randall wyglądał na nieco zaskoczonego, ale posłusznie otworzył przed nią przednie drzwi. Gdy zatrzymali się przed szpitalem, zobaczyła Billa. Wskoczyła z samochodu jak pocisk.

- Sądziłam, że to moja działka i że sierżant będzie moim człowiekiem.

Bill uśmiechnął się.

- Boże broń, żebym miał ci go odbierać - powiedział z udawanym przerażeniem. - Przyniosłem ci tylko mapę, ankiety i dane pacjentów. Oraz różne oficjalne gadżety, żeby wszyscy widzieli, że jesteś ze szpitala: identyfikator, kod dostępu do komputera, zaświadczenie o przyjęciu cię do pracy. I tak musisz odwiedzić wszystkich mieszkańców w tamtej okolicy, ale pomyślałem, że dobrze by było, gdybyś z góry znała adresy osób, które chorowały.

Wręczył jej mapę oraz plastikową teczkę i lekko dotknął jej ramienia.

- Pamiętaj, porządnie się wysmaruj środkiem na komary.

Oczy miał mniej zmęczone niż wczoraj. Niebieskie tęczówki wpatrywały się w Esther intensywnie, jakby Bill próbował jej wzrokiem przekazać coś, czego nie chciał wypowiedzieć na głos.

- Sierżant Randall odwiezie cię później do mnie. Pamiętaj, tu jest bardzo gorąco. Uważaj na siebie, nie przemęczaj się i nie próbuj zrobić wszystkiego naraz.

Już miała odpowiedzieć, żeby się tak o nią nie troszczył, bo była w Afryce, gdzie jest o wiele goręcej, ale coś niewypowiedzianego, co przepłynęło między nimi jak magnetyczna fala, zbiło ją z tropu na tyle, by, bez słowa kiwnąwszy głową, wrócić do auta.

Przejechali przez centrum miasta, gdzie były wyłącznie ruiny. Na przedmieściach zobaczyła dźwigi, które demontowały pozostałości domów. Były to widoki przygnębiające, przypominające o nietrwałości wszelkich ludzkich poczynań.

- Tu kończy się miasto - odezwał się sierżant. Za oknem nie było już budynków, zaczynały się za

to zielone pola i szerokie rozlewiska wody pozostałej po powodzi. Po chwili dojechali do małej wioski skupionej po jednej stronie drogi.

- Oto nasz cel. To miejsce nazywa się Robinson.

Zaparkowali przy sklepie, pod rozłożystym figowcem, który oparł się kataklizmowi. Ktoś powiesił na nim łańcuch choinkowy.

- Przed opuszczeniem samochodu proszę użyć spreju przeciwko komarom.

Esther, którą wciąż bawił wojskowy sposób mówienia jej towarzysza, miała ochotę huknąć: „Tak jest, panie sierżancie!” i zasałutować, ale powstrzymała się i w milczeniu przyjęła podaną jej buteleczkę. Wnętrze samochodu wypełnił słodki, mdlący zapach.

- Fuj, ależ to śmierdzi. Nie macie niczego, co pachniałoby chociaż trochę ładniej?

- Według naszych ekspertów ten środek jest najskuteczniejszy - odrzekł sierżant swoim głosem robota.

Czy niczym nie da się przełamać jego rezerwy i uczynić go choć trochę bardziej ludzkim? Esther rozłożyła mapę.

- Chyba powinniśmy zacząć od tej ulicy i porozmawiać z każdym, kto na niej mieszka - zaproponowała, wskazując na mapie czarną linię, wzdłuż której biegł rząd czerwonych kropek, które zastąpiły wpięte tam kiedyś pinezki. - Ja się za to wezmę, a dla pana, sierżancie, mam inne zajęcie. Proszę przejść się po domach i pytać o wszelkie miejsca, w których zdaniem mieszkańców wylęgają się komary. - Zawahała się. - Ciężko mi idzie nazywanie pana sierżantem. Czy nie moglibyśmy przejść na ty?

- Mam na imię Byron - odparł żołnierz, czerwieniąc się pod opalenizną.

Ha, nic dziwnego, że się wstydzi. Z takim imieniem to prawdziwy cud, że w ogóle przetrwał w wojsku. Esther szczerze pożałowała swojej propozycji.

- Cóż, w takim razie chodźmy, Byron. Ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę domów.

Za ich samochodem zaparkował drugi SUV.

- Telewizja - mruknął Byron.

- Tylko nie to! - jęknęła. Z samochodu wysypała się ekipa z kablami, kamerami i statywami. - Zorientowali się, że tu jest źródło epidemii? W żadnym wypadku nie możemy sobie pozwolić na wybuch paniki. Pospieszmy się.

Droga biegła obok sklepu, ale po pięćdziesięciu metrach niespodziewanie się kończyła. Przecinał ją kanał melioracyjny, a resztki drewnianego mostku wskazywały, że niegdyś znajdowało się w tym miejscu przejście dla pieszych.

- Nie jest tu szeroko. Można przeskoczyć - oceniła Esther.
- Nie jestem pewien - mruknął Byron, ale Esther już brała rozpęd.

Skoczyła. Kanał był nieco szerszy niż jej się wydawało, ale liczyła, że uda jej się wylądować na skraju drugiego brzegu i stamtąd wdrapać się na górę.

W momencie, gdy się odbiła, ostrzegawczy wrzask sierżanta przeciął powietrze i dokładnie w miejscu, w którym zamierzała wylądować, zobaczyła krokodyla.

RS

Rozdział piąty

Musiał skoczyć niemal równocześnie, bo zanim dotknęła gruntu, jego ramię uderzyło ją i pchnęło dalej, odrzucając na bok, w grząskie, lepkie błoto. Tuż za nią coś plusnęło. Pozostawiając za sobą podłużny ślad, krokodyl zsunął się i zniknął w płytkiej wodzie.

A tam może się zacząć! Zaatakować!

Usiłowała wdrapać się na brzeg, ale błoto było gęste. Stopy przebierały w miejscu, a własny ciężar znosił ją w kierunku wody. Panika narastała, dławiąc Esther gardło i blokując wszelkie myśli. I nagle silne ramiona objęły ją, uniosły w górę, a męski głos zapewnił, że już wszystko w porządku.

- Uratowałeś mi życie - wymamrotała do żołnierza, który postawił ją delikatnie na nogach, wciąż obejmując w pasie. Spojrzała w jego brązowe oczy i ujrzała w nich resztki niedawnego przerażenia. - Dziękuję. - Wspięła się na palce i ucałowała go w policzek.

Byron Randall wyglądał na zadowolonego. Poglądził dłonią miejsce, którego dotknęły usta Esther, nadal nie puszczając jej, jakby chciał fizycznie upewnić się, że jest cała i zdrowa. Wreszcie

odsunął się od niej i powiedział swoim zwykłym, brzęącym jak automat głosem:

- Prawdopodobnie nic ci nie groziło.

- Owszem, groziło. Popatrz, cała jestem w błocie. I ubrudziłam też twój mundur. Chodźmy, poprosimy gdzieś o wodę. Może dostaniemy także filiżankę herbaty, żeby ukoić nerwy.

- To z pewnością dobry pomysł. Telewizja nas filmuje.

Esther odwróciła się, a widząc wycelowany w siebie obiektyw kamery, czym prędzej ruszyła w kierunku najbliższego domu.

Młoda kobieta stanęła w progu i gestem zaprosiła ją do środka.

- Możesz się umyć w łazience - powiedziała, ale Esther, która już otrząsnęła się z szoku, poczuła przypływ energii.

- Czy władze wiedzą, że macie tu krokodyla?

- Pojawił się po huraganie - odpowiedział dziecięcy głos. Za plecami Esther zebrała się grupka osób zaciekawionych przybyszami. Na jej czele stał mały chłopczyk. - Mama mówi, że on mnie zje, jak podejść za blisko. A mój wujek zadzwonił do telewizji, żeby przyjechali go nakręcić!

- Dlaczego nie naprawicie mostu? - Esther skierowała to pytanie do dorosłych. - Jak dostajecie się do sklepu?

- Tak jak ty. Skaczemy - wyjaśnił ktoś. - Nellie jest za gruba, żeby skakać, więc robimy zakupy za nią.

- Skaczecie? - spytała Esther z niedowierzaniem, czując, jak rośnie w niej furia. - Przecież taki skok może kogoś kosztować życie. Od czego jest wojsko? Nie można poprosić, żeby zabrali tego krokodyla? Próbowaliście chociaż kogoś zawiadomić? Koło James-town jest farma krokodyli. Ktoś stamtąd mapewno wie, jak się łapie te zwierzęta.

Mężczyzna stojący na czele grupy wzruszył ramionami.

- Mówimy różnym ludziom, ale jakoś nikt tutaj nie przyjeżdża.

- Sierzancie? - zwróciła się Esther do Byrona Randalla. - Naprawić taki drewniany mostek to chyba żadna sztuka. Niechże pan skrzyknie kilku mężczyzn i razem z nimi postawi go na nowo.

- To możliwe - odpowiedział żołnierz z wahaniem.

- Ale czy taki most będzie bezpieczny? Jeśli ktoś z niego spadnie, może nas pozwać.

- Doskonale - syknęła cicho, ale groźnie. - Lepiej nic nie robić, bo wtedy nie ma żadnych konsekwencji. Unikać decyzji, bo mogą się zwrócić przeciwko tobie. Cóż, skoro nikt nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności, ja to zrobię.

Wyciągnęła z kieszeni komórkę.

- Sue? Mówi Esther. Przełączysz mnie do szefa?

- Zapadła długa cisza, podczas której tłum gapiów zgęstniał. - Geoff? Tu Esther. Jestem na przedmieściach Jamestown, w miejscu, które nazywa się Robinson. Jest tu rów, a nim wygłodzony krokodyl. Tak, krokodyl. Prawdziwy. Nie wiem, jaki duży. Jakby otworzył paszczę, to bym się w niej cała zmieściła. Skakałam przez ten rów, bo tu nie ma mostu. Czy mógłbyś poprosić kogoś, kto ma coś do powiedzenia w tym mieście, żeby albo zabrali krokodyla, albo postawili most? Kiedy? Natychmiast. Albo przyślijcie po mnie helikopter, jak będę stąd wracać, bo drugi raz przez ten rów nie skoczę. - Esther zakończyła rozmowę i odwróciła się do właścicielki domu. - A teraz, jeśli można, chciałabym skorzystać z łazienki.

Po tych wrażeniach wizyty domowe nie były już ekscytujące. Esther przesłuchiwała mieszkańców wioski i zanotowała odpowie-

dzi. Szczególną uwagę zwracała na wszystkich, którzy w ciągu ostatniego miesiąca zauważyli u siebie jakiegokolwiek dolegliwości. Skoro Harold Jenkins zachorował w pierwszym dniu huraganu, to komary roznoszące dengę nie mogły być, jak pierwotnie Esther przypuszczała, przyniesione razem z wiatrem.

- Ktoś je musiał skądś sprowadzić - rzekła do Byrona.

- Oni dużo podróżują - odparł. - Mają rodziny na północy, nawet na wyspach w Cieśninie Torresa.

Torres Strait? Czy to nie tam w ubiegłym roku wystąpiły ciężkie przypadki dengi? Czytała o tym w Internecie. Pacjenci zostali przewiezieni do szpitala w Cairns. Esther postanowiła tam zadzwonić, ale już teraz wiedziała, że do swojej ankiety musi dołączyć kolejne pytania.

- To otwiera przed nami nowe możliwości - rzekła do Byrona.

- Daj sobie na razie spokój z szukaniem łęgówisk komarów.

Przejdź się jeszcze raz po domach, w których już byłam, i zapytaj, czy gdzieś wyjeżdżali. Powiedzmy miesiąc przed huraganem.

Weź listę i notuj odpowiedzi.

Robiło się ciemno, gdy uznała, że na dziś wystarczy pracy. Zapomniała już o swoim telefonie do szefa, zdumiała się więc, gdy ujrzała nad rowem dźwig, zapalone reflektory i mnóstwo żołnierzy. Pogratulowała sobie udanej interwencji.

I właśnie wtedy z mroku wynurzyła się znajoma postać.

- Bill! Co ty tu robisz? Jak się dostałeś na ten brzeg? Chyba nie skakałeś? W kanale jest krokodyl!

- Dowiedziałem się o tym od twojego szefa - odparł zimno, tonem zaskakująco przypominającym ten, który przybierała jego

matka. - Chciałbym natomiast wiedzieć, co ty wyprawiasz? Bawisz się w Indianę Jonesa?

Jego ironia rozdrażniła Esther.

- Nie było wyjścia, musiałam skoczyć. Ci biedni ludzie codziennie ryzykują życiem i nikt nie ruszył palcem. Ale wystarczył jeden telefon od pani doktor, żeby pół miasta przyjechało na ratunek. To chyba trochę niesprawiedliwe?

- Nie przyszedłem tu toczyć debaty o sprawiedliwości społecznej - warknął. - Rozmawiałem z Geof-fem. Zdał sobie sprawę, że jest tu dla ciebie zbyt niebezpiecznie. Powinien był mi przysłać mężczyznę.

- Rozmawiałeś z Geoffem? - Zdumienie podniosło głos Esther o oktawę. - Powinien był przysłać ci mężczyznę? O nie, Bill. Nie mam ochoty słuchać tej seksistowskiej gadki i nie wierzę, żeby Geoff dał posłuch bzdurom, których mu nagadałeś. A co do zrezygnowania z tej pracy - zapomnij.

Podszedł do nich Byron.

- Sprawdziłem wszystkich. Trzy rodziny wyjeżdżały w miesiącu poprzedzającym huragan. Zaznaczyłem które i zapisałem, gdzie byli.

Esther podziękowała mu wylewnie, może wylewniej niż było trzeba, a Bill nie odezwał się do Byrona ani słowem. Coś wisiało w powietrzu.

- Ja zabiorę doktor Shaw do miasta. Może pan iść do domu, sierżancie - powiedział oschle Bill.

- Tak jest! - Byron Randall odwrócił się do Esther. - O której zaczynamy jutro pracę?

Esther, która nie miała pojęcia, o co chodzi Billowi, ale była na niego wściekła i chciała zatrzeć złe wrażenie, jakie mógł zrobić na sierżancie Randallu jego ton, uśmiechnęła się do żołnierza.

- Myślę, że ludzie w Robinson nie wstają wcześniej jak o dziewiątej. Przyjedź po mnie o tej porze, będziemy mieli jeszcze cały dzień przed sobą.

- Tak jest! - Byron zasalutował i odszedł w stronę oświetlonego reflektorami mostu, który przywrócony został do stanu sprzed cyklonu.

- Nie powiedziałeś mi w końcu, jak pokonałeś ten rów.

- Trzymając się haka dźwigu. Esther wytrzeszczyła oczy.

- Czy to nie jest nielegalne? Wiem, że robiono tak kiedyś na budowach, ale potem tego zakazano, bo to niebezpieczne. Po co tak ryzykowałeś, na Boga? Żeby zacząć się na mnie wydzierać parę minut wcześniej?

- Wcale się na ciebie nie wydzieram - odparł z urażoną miną i musiała przyznać mu rację. Bill nigdy nie krzyczał. - Zadzwonił do mnie twój szef i zaczął mi opowiadać o krokodylach, więc co miałem robić? Siedzieć w szpitalu i czekać, aż zostaniesz zjedzona?

- Geoff ci nie powiedział, że jednak nie zostałam zjedzona? - Argumentacja Billa wydawała się Esther dziwna. Stali akurat poza zasięgiem światła rzucanego przez reflektory oświetlające naprawiany most. Mimo że wokół kręciło się mnóstwo ludzi - żołnierzy i gapiów - miała wrażenie, że ciemność tworzy w tym tłumie prywatną przestrzeń tylko dla nich dwojga.

- Dlaczego kazałaś temu żołnierzowi zadawać ludziom jakieś dodatkowe pytania?

- Bill, czy ty kwestionujesz moje kwalifikacje? Masz zamiar szpiegować mnie na każdym kroku?

- Wcale nie muszę cię szpiegować. Wystarczyło o piątą włączyć telewizor, żeby zobaczyć w wiadomościach, jak skaczesz przez ekran, łądujesz w ramionach tego twojego żołnierza i w dodatku publicznie go całujesz - wycedził Bill przez zęby. Widok Esther w objęciach innego mężczyzny tak go zaszokował, że nie mógł się pozbierać.

- To nie jest żaden mój żołnierz. W każdym razie nie w tym sensie, jaki sugerujesz. Wiesz o tym doskonale. Wiesz również, że ledwie go znam, że wykazał się odwagą i refleksem i że pocałowałam go tylko w policzek. Co chyba nie jest szczególnie sowitą zapłatą za uratowanie życia.

Odwróciła się i odmaszerowała w stronę światła, z głową uniesioną wysoko i wyprostowaną sylwetką. Bill dostrzegł plamy błota na jej koszuli i dżinsach. Świadomość niebezpieczeństwa, w jakim się znajdowała, ścisnęła mu serce. Gdyby skoczyła parę centymetrów dalej, mogłoby już jej nie być!

Wyszedł w jej oczach na kompletnego głupka i nie miał pojęcia, jak to teraz zmienić. Pobiegł za nią, chciał przeprosić, pogodzić się, jakoś się dogadać. Swoją drogą, nigdy tak naprawdę nie wiedział, jak dogadać się z Esther. Czasami tak się różnili, jakby stanowili dwa całkowicie odmienne gatunki.

- Esther! - Dogonił ją przy moście. - Esther! Musimy porozmawiać. - Wyrzucił te słowa z siebie z największą rozpaczą, a potem znów poczuł się jak głupek, bo ona uśmiechnęła się i zapytała najspokojniej w świecie:

- Chcesz rozmawiać tu i teraz?

Chwycił ją za łokieć, przeprowadził przez most i dalej wzdłuż drogi, w kierunku wielkiego figowca.

- Gdzie masz samochód? - zapytała.

Auto było niemal niewidoczne w cieniu drzewa. Machnął ręką w jego kierunku.

- Czyli w samej centrali komarów - skomentowała, a Bill znów się zawstydził. Rzeczywiście, miejsce wybrał fatalne. Owładnął nim niepokój o jej zdrowie.

- Pamiętałaś o środku na komary? - Sięgnął do kieszeni po pojemnik i opryskał siebie oraz Esther. - Masz rację, głupio zaparkowałem. Mam w samochodzie jeszcze jeden płyn owadobójczy, rozpylę go, jak będziemy wewnątrz.

Odsunęła się, gdy przyskał na nią, wyjaśniając, że przestrzegala wszystkich zaleceń i nie potrzebuje dodatkowej ochrony.

W samochodzie, gdzie Bill rozpylił aerozol owadobójczy tak hojnie, że zamiast dengi groziło im uduszenie, Esther wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

- Bill? Porozmawiajmy, ale proszę cię, zróbmy to gdzieś, gdzie można normalnie oddychać.

Zatrzymał się przy oceanie. Wiatr wiejący od wody odpędzał komary, a światło księżyca kładło się na falach. Sceneria mu sprzyjała.

- Ależ tu pięknie - szepnęła. Brzmiało to zachęcająco.

- Prawda? - Odwrócił głowę tak, by oprócz zatoki móc podziwiać krótki prosty nosik Esther, jej pełne usta i delikatne kosmyki wymykające się z kucyka.

- Jak to się stało, że wyrwałeś się ze szpitala? - zainteresowała się. - Wszyscy pacjenci sobie radzą?

- To było dobre popołudnie - przyznał. - Nikomu się nie pogorszyło, a pan Armstrong czuje się chyba trochę lepiej. Nie znaleźliśmy żadnej cudownej recepty. Nadal leczymy tylko objawy, ale zdaje się, że to działa.

- To świetnie - powiedziała z entuzjazmem, uśmiechając się do niego.

Była tak blisko, taka słodka, taka, zdawało się, gotowa do pocałunku, że nachylił się w jej stronę. To nie będzie trudne, pomyślał, powiedz jej po prostu, że ją kochasz, potem się pocałujecie i...

- Ja też mam dla ciebie ciekawe wieści - dodała. Ach, nie tylko są dwoma odrębnymi gatunkami. Pochodzą z innych planet! - Nic, co by cię zważyło z nóg, ale kilka drobiazgów, które w sumie składają się w logiczną całość. Na początek spróbuj połączyć dwa fakty: zapach środka na komary, który rozdaje wojsko, i niską liczbę zachorowań wśród kobiet.

Czekała na odpowiedź wpatrzona w niego, lecz Bill zamiast o pracy, wciąż myślał o świetle księżyca.

- No? Co jest charakterystyczne dla tego spreju?

- Ten słodki zapach - mruknął, widząc, że mu nie odpuści. - Ohydny.

- Właśnie! - wykrzyknęła triumfalnie. - Słodki. Słodki jak najtańsze perfumy. A sam wiesz, jak to jest z perfumami, każdemu podoba się coś innego. Otóż zapach naszego środka na komary podoba się z jakichś przyczyn kobietom z Robinson. Używają go obficie, odkąd tylko zaczął być wydawany, bo traktują go jak perfumy. Dlatego nie chorują!

- Sądzisz, że tak głupia przyczyna mogła spowodować takie różnice w liczbie zachorowań?

Esther rozpromieniła się.

- Tak! Niesamowite, co? Popatrz tylko, jak drobiazgi mogą zmieniać rzeczywistość.

Teraz jest dobry moment na pocałunek. Światło księżycy zamigotało na jej ustach. Bill już prawie się zdecydował, ale wtedy szansa znowu przepadła.

- To nie wszystko - podjęła, nieświadoma jego rozpacz. Nadal widział hipnotyzujące światło odbijające się od jej warg. - Wirus nie został przyniesiony razem z cyklonem, dowodzi tego przypadek Harolda Jenkin-sa. Wirus potrzebuje kilku dni na inkubację, a on zachorował jeszcze zanim zaczęło wiać.

- Też o tym dziś myślałem - przyznał Bill posepnie.

- Dowiedziałam się za to - ciągnęła - że ludzie z Robinson dużo podróżują.

- Sądysz, że ktoś przywiózł wirusa? Zaraził się, ale choroba miała tak łagodny przebieg, że nikt się nie zorientował?

Potrząsnęła głową energicznie.

- Nie miałam czasu przejrzeć notatek, ale być może jeździli na wyspy w Cieśninie Torresa. Muszę się jeszcze dokładnie wypytać Geoffa, bo czytałam gdzieś, że rok temu była tam epidemia i pacjentów przewieziono do szpitala w Cairns. Przypominam sobie też, że te przypadki nie były typowe.

Słyszał nutę niecierpliwości w jej głosie. Wiedział, że złapała już bakcyła pościgu i nie może się doczekać dalszych tropów, które doprowadzają do rozwiązania zagadki.

On także byłby podniecony śledztwem, gdyby nie stan, w jaki wprowadziło go to, co zobaczył w telewizji. Trudno wręcz uwierzyć, tak gwałtowna zazdrość, trzy lata po rozwodzie...

Przekreślił kluczyk w stacyjce. Esther o wiele lepiej od niego znosi to ich niespodziewane spotkanie. Zapewne pogodziła się z życiem na tyle, by traktować go jak kolegę z pracy. No bo gdyby czuła się tak jak on, nie byłaby w stanie prowadzić tego logicznego wywodu na temat dengi.

Esther dyskretnie odetchnęła z ulgą. Najchętniej westchnęłaby sobie z całej piersi, ale nie śmiała tego zrobić. Nie teraz, kiedy Bill jest w tak dziwnym nastroju. Zapewne oskarżyłby ją, że wzdycha z tęsknoty za Byronem. W rzeczywistości ulżyło jej, ponieważ zdołała przetrwać spotkanie z Billem sam na sam i nie skompromitować się, rzucając się w jego ramiona i prosząc o pocałunek. A przy tym świetle księżycy trudno jej było myśleć o czymś innym niż o pocałunkach. Ale my nie jesteśmy kochankami, pomyślała z żalem. Tak bardzo się różnimy.

Bill zahamował tak gwałtownie, że omal nie wpadła na przednią szybę.

- Co się stało? Jakies zwierzę? - zapytała, wyjęzając wzrok.

- Nie, nie - odrzekł, zwalniając. - Zdziwiło mnie to, co powiedziałeś.

Powiedziałeś? Czy naprawdę znowu myślała głośno, nie zdając sobie z tego sprawy?

- Właśnie to samo przyszło mi do głowy - ciągnął Bill. - Ze się różnimy, a jednak możemy się rozumieć. - Nostalgia w jego głosie sprawiła, że Esther położyła mu dłoń na ramieniu. - Kiedyś się rozumieliśmy, pamiętasz? Nie przypominam sobie, żebyśmy się

kłócili, chociaż musieliśmy chyba, choćby o tę twoją determinację, żeby bronić mnie przed wszystkim. Od najłżejszego wiatorku po moją własną głupotę. - Zatrzymał samochód i pogładził ją po twarzy. - To właśnie od dawna chciałem zrobić. Tak bardzo cię zraniłem. Nie mogłem znieść myśli, że cierpisz.

Pocałował ją. Delikatnie, w same wargi. Pożądanie, które trzymała zduszone gdzieś w głębi, nagle wydostało się z uwięzi i rozszalało na dobre. Nim Esther się zorientowała, już oddawała jego pocałunki. Za oknem nie było księżycy tańczącego na falach, tylko ponura ulica, z upiornymi wrakami domów i zwisającymi brudnymi resztkami łańcuchów choinkowych.

Rozchyliła wargi, zapamiętując się w namiętności. Usłyszała jęk. Swój własny? Ciche przekleństwo za to z całą pewnością rzucił Bill, który usiłował wyplątać się z pasów bezpieczeństwa. A potem pokonać dźwignię biegów.

- Czy nie możemy się przenieść na tył? - szepnął. Jego gorący oddech przyprawił ją o zimny dreszcz.

Nie odpowiedziała, ale gdy Bill otworzył drzwi i znalazł się na tylnym siedzeniu, poszła w jego ślady. Tym razem wygodnie mogła objąć jego plecy, przytulić się do niego, poczuć ciężar jego ciała.

- Esther - wyszeptał.

Samo to słowo zdawało się pieszczotą. Rozpiął guziki jej bluzki. Zrobiła to samo z jego koszulą, wsunęła dłoń pod chłodny materiał i położyła ją na gładkiej, ciepłej piersi, którą знаła tak dobrze, że rozpoznałaby ją samym dotykem.

- Esther. - Tym razem jego głos brzmiał inaczej, bardziej ochryple, trochę przypominał prośbę, a trochę potwierdzenie. Udzieliła odpowiedzi bez słowa, odsuwając się od niego, by zrzucić spodnie. Obok niej Bill rozbierał się równie gorączkowo. Gdzieś z dna pamięci Esther wydobyła niemal identyczne wspomnienie. Dawno temu, na początku ich znajomości, zapragnęli siebie tak bardzo, że nie byli w stanie dojechać do domu i kochali się w samochodzie. Może dlatego, że sytuacja była tak podobna do tamtej, łatwo było jej znaleźć odpowiednie miejsce na szerokiej kanapie SUV-a, a Bill zdawał się być wszędzie: pieszcząc ją, tuląc, całując, aż wreszcie połączyli się w jedno, która, jak wiedziała Esther, zawsze była im przeznaczona.

Podobnie jak tamten akt miłosny z przeszłości, ten również był pospieszny i niewygodny, ale to, co żarzyło się pomiędzy nimi, było ogniem, którego nie dało się ugasić w żaden inny sposób. Ugasić, czy też raczej zaledwie przytłumić, bo nawet gdy leżeli wyczerpani w swoich ramionach, gdzieś głęboko iskry wciąż się tliły, by znów zapłonąć żywym płomieniem przy najlżejszym dotknięciu.

- Już zapomniałem, jak na mnie działasz - szepnął Bill, przesuwając się nieco, by Esther mogła wygodniej ułożyć się na jego piersi. Objął ją i czuł wyraźnie, jak bije jej serce, rytmicznie i mocno.

- Jak działamy na siebie nawzajem - poprawiła go. Cieszyła się tą chwilą spokoju i spełnienia, choć powoli zaczynała wracać na ziemię, a w jej głowie pojawiła się myśl, że to, co się wydarzyło, musi zostać...

Nie chciała słuchać głosu rozsądku, przycisnęła się mocniej do Billa, czując jego ciepło i znajomy zapach żywicy i ziemi. Tak jej się zawsze kojarzył. Rozsądek nie był ważny, liczyły się tylko zmysły.

Bill także nie miał ochoty się z nią rozstawać. Pozostali tak jeszcze długo, pół siedząc, pół leżąc w ciszy. Aż wreszcie Bill zapytał, czy i ona pamięta, że już kiedyś kochali się w samochodzie, i oboje zaczęli się śmiać, wspominając dawne czasy.

- Chodźmy już - powiedziała w końcu Esther. - Umrę, jeśli szybko czegoś nie zjem.

Bill przytulił ją mocniej.

- Zawsze lubiłaś jadać o stałych porach - zaśmiał się, ale czuła, że najchętniej pozostałby jeszcze dłużej tu, w tej ciemnej ulicy. Domyśliła się przyczyny. Jej rozsądek już wygrał ze zmysłami i przypominał jej, że to, co się wydarzyło, niczego w ich życiu nie może zmienić.

Bill ma już inną żonę. I dziecko. Przeszył ją ostry, palący i dotkliwy ból.

- Jest cudownie, ale to by było na tyle - powiedziała, licząc na to, że będzie mu łatwiej, gdy zobaczy, że rozumie jego dylemat.

- O co ci chodzi z tym „na tyle”? - zapytał.

- To wszystko. Nie możemy tego powtórzyć. Owszem, nadal siebie pragniemy, to pozostało z przeszłości. Ale za dużo się zmieniło, Bill. Ty masz rodzinę, ja też stworzyłam sobie nowe życie. I nie zrujnujemy przecież wszystkiego przez jeden szybki numerok.

- Bill odsunął się od niej tak gwałtownie, że upadła na siedzenie. Wściekle szukał swoich ubrań, pospiesznie wciągając każdą część garderoby.

- Tyle to dla ciebie znaczyło? Szybki numerek? A o co chodzi z tym nowym życiem? Czy właśnie kogoś zdradziłaś?

W mgnieniu oka przesiadł się na fotel kierowcy.

- Zapnij pas - warknął, przekręcając kluczyk w stacyjce - i włóż coś na siebie.

Nie mógł wprost uwierzyć! Kiedy się całowali, Esther wydawała się równie zakochana jak on, a potem bęc! Odepchnęła go, mówiąc „to by było na tyle” i robiąc z tej miłości coś trywialnego, nieco nawet wulgarnego.

To wiele mówi o tym, jak się czuła. Nie doświadczyła ponownego przebudzenia się uczucia, które rodziło się w nim od chwili, gdy wkroczyła znów w jego życie. Po cichu Bill liczył, że to spotkanie okaże się ich drugą szansą. Od dawna marzył, aby zacząć jeszcze raz. Nikt, ani jego szef, ani matka, ani najbliższy przyjaciel nie wiedzieli, że dlatego właśnie tak chętnie zgodził się na wymianę ze szpitalem w Jamestown. Chciał być na tym samym kontynencie co Esther, licząc na to, że może los jeszcze raz rzuci ich gdzieś razem.

Gdy przyjechał do Australii, dowiedział się, że wybrał nie ten kontynent. Esther była w Afryce. A potem jednak los, który dotąd nieszczęśliwie mu sprzyjał, nagle zmienił zdanie. Zesłał mu Esther, ale - z właściwą sobie złośliwością - w najmniej odpowiednim momencie. W chwili, gdy Bill był tak zestresowany i zmęczony, że wszystko, co robił, zdawało się Esther irytować.

A może ona kogoś ma? To by wiele tłumaczyło.

Ale czy tłumaczy to, że najpierw kochała się z nim z pasją, a potem go odrzuciła?

Być może dobrze się stało. Z tego doświadczenia powinien wyciągnąć wnioski. Esther jest taka jak dawniej. Wciąż potrafi wyłączyć się i zostawić go w próżni, zagubionego i zdezorientowanego. Zamknąć się w sobie i zatrzaskać drzwi.

Czyż to, co się stało, nie jest dowodem, że wcale się nie zmieniła? I nigdy nie zmieni?

Jak zwykle, gdy chodziło o Esther, nie miał pojęcia.

Zapięła zamek w dzinsach. Ze zdenerwowania trzęsły jej się ręce. Czy Bill ma prawo tak się wściekać?

To przecież on zawarł nowe małżeństwo, nie ona. Nie ożeniłby się ponownie, gdyby wciąż kochał swoją pierwszą żonę. To chyba logiczne. Zatem to, co między nimi zaszło, było tylko wybuchem pożądania. Niczego więcej.

Czy Bill tego nie dostrzega?

Najwyraźniej nie. Próbowwała pocieszyć się myślą, że przecież nie pozostanie długo w Jamestown, a jeśli Bill nadal będzie obrażony, to na pewno nie dojdzie do kolejnej podobnej sytuacji. Ale nie przyniosło jej to pocieszenia. Wręcz przeciwnie, nagle zaczęła się płakać, zanieść się krzykiem jak dziecko.

Oczywiście nie rozplakała się. Zamiast tego zajęła się starannym zapinaniem i wygładzaniem bluzki. Kiedy Bill zaparkował przed domem, wysiadła z samochodu w stroju, któremu można by zarzucić tylko kilka fałdek.

- Twojej matce wystarczy rzut oka, żeby wszystkiego się domyślić - zauważyła, licząc na jego poczucie humoru, ale jedyną odpowiedzią był ponury grymas.

Może nie ma racji z tym poczuciem humoru.

Może nie ma racji w wielu sprawach.

W milczeniu przebyli drogę do budynku, w milczeniu stali w windzie, w milczeniu wyszli na korytarz. Zanim Bill zdążył włożyć klucz do zamka, drzwi otworzyły się same.

Gwyneth z całą pewnością nie była w nastroju do wyciągania wniosków z ich wyglądu. Krzyknęła z rozpaczą i rzuciła się w ramiona Billa.

- Próbowałam się z tobą skontaktować. Chloe jest chora!

RS

Rozdział szósty

- Może to zwykła gorączka. Przecież to nie musi być od razu denga - rzekła Esther uspokajającym tonem, podążając za Billem do pokoju dziewczynki.

- Ach, jesteś ekspertem od chorób dziecięcych? - warknął wściekle, zatrzymał się nad łóżeczkiem Chloe i sięgnął do zaczerwienionego policzka dziewczynki.

Esther wiedziała, że gniew Billa wynika teraz wyłącznie ze strachu o córkę. I z poczucia winy, że nie było go w domu, gdy zaczęła chorować. Sama czuła się trochę winna.

- Dawałaś jej jakieś leki? - zapytała, dotykając ramienia Gwyneth. Kobieta obrzuciła ją nieprzytomnym spojrzeniem.

- Dałam jej syrop, który przyniósł Bill, kiedy wyrzynały jej się zęby - oznajmiła. - Chloe była niespokojna całe popołudnie, mało spała, potem nie chciała jeść. Zadzwoiłam do szpitala, ale powiedziano mi, że Bill wyszedł. - Oczy Gwyneth rozbliły nagłym podejrzeniem. - Poleciał za tobą, tak? Zobaczył w telewizji tę bzdurę o krokodylu i nie mógł usiedzieć na miejscu. Ten człowiek nigdy nie wykazuje cienia zdrowego rozsądku w przypadku, gdy chodzi o ciebie.

Przykrość, ból, żal - co jeszcze można poczuć w takiej chwili? Esther odwróciła się, dopiero gdy była już przy drzwiach:

- Idę do szpitala. Dam sobie ze wszystkim radę. Bill, ty zostań z Chloe.

Już za drzwiami usłyszała, jak ją woła. Niech woła. Niech oboje robią, co tylko chcą. Nie potrzebuję ich. Ale mam nadzieję, że dziecku nic nie będzie. Niech to nie będzie denga. Niech nie będzie nic poważnego.

Bezsensowne prośby, modlitwy, błagania. Czy kiedykolwiek jej wołania o litość losu zostały wysłuchane? Nigdy. Ale nadzieja nie umiera tak łatwo. Może tym razem...

W swojej sypialni, w której nie miała czasu dotąd pobyć, przebrała się pośpiesznie. Pomimo tego, co powiedziała w samochodzie, wiedziała, że do Billa czuje coś więcej niż zwykły fizyczny pociąg. Tu nie chodzi o seks. Więż między nimi była oparta na czymś głębszym. Zresztą nieważne. Koniec rozważań na temat Billa, trzeba zacząć myśleć o pacjentach, odszukać źródło zakażenia, znaleźć na nie sposób i wyjeżdżać stąd. Jak dobrze pójdzie, zdąży do domu przed Bożym Narodzeniem.

Ta myśl jeszcze bardziej ją przygnębiła. Dom. Dom w Brisbane, wynajęty razem z meblami, bo nigdy nie miała swoich. Zapewniał jej dach nad głową i miejsce, gdzie mogła trzymać ubrania i książki. Nic więcej. Tłumaczyła sobie, że dzięki temu jest wolna, szczęśliwa i może w każdej chwili pośpieszyć na pomoc wszędzie, gdziekolwiek potrzebny będzie epidemiolog. Ale taki styl życia sprawiał, że słowo „dom”, zwłaszcza podczas świąt, znaczy doprawdy niewiele. Tym bardziej że nigdy nie chciało jej się go przystrajać światełkami czy też kupować choinki i wieszać na niej bombek...

Ruszyła ciemną ulicą w stronę jasno oświetlonego szpitala, zdecydowana trzymać się drogi, którą sobie wytyczyła, niezależ-

nie od tego, czy te święta będą udane czy nie. A przeszłość odeśłać tam, gdzie jej miejsce - w niebyt.

Na czwartym piętrze spotkała pielęgniarki, które dyżurowały ubiegłej nocy - Jill i Janet. Wyjaśniła im, że Chloe jest chora, dodając:

- Zamiast dzwonić do Billa i zakłócać mu sen, budźcie mnie. Będę w dyżurce.

Obie pielęgniarki kiwnęły głowami i zaczęły wypytywać o stan Chloe. Ich zaniepokojenie wydawało się Esther szczerze.

- To chyba tylko przeziębienie - uspokajała. - Jeśli się weźmie pod uwagę, gdzie mieszkają, denga raczej nie wchodzi w rachubę.

- Ale - przypomniała Jill - Bill martwił się, że choroba może być przenoszona nie tylko przez komary.

- Wszyscy mamy nadzieję, że się mylił - odparła Esther, która miała podobne wątpliwości. - Bo fakt, że to on zaraził córkę, chyba by go zabił. Ale to mało prawdopodobne. Bill zawsze dbał, żeby nie przynieść do domu żadnych zarazków. Nigdy w życiu nie wyszedł z pracy bez kąpieli.

Pielęgniarki rzuciły jej zdziwione spojrzenia, a Esther zdała sobie sprawę, że jak na osobę, która poznała Billa dopiero wczoraj, nieco za dużo wie o jego zwyczajach.

Była to dość spokojna noc. Jeden z pacjentów czuł się nawet na tyle dobrze, że Esther zgodziła się na odłączenie go od monitorów. Udało jej się przespać kilka godzin, obudziła ją dopiero Janet, gdy stan pana Riska znów się pogorszył. Temperatura wzrosła mu niepokojąco, a puls zwolnił. Acetaminofen i zimne okłady zbiły nieco gorączkę. Gdy spadła, rytm serca także się ustabilizo-

wał i Esther odetchnęła, uznając, że był to tylko przejściowy kryzys.

O czwartej nad ranem w szpitalu pojawił się Bill z córeczką w ramionach.

- Jest w mieście jakiś pediatra? - zapytała Esther, wiedząc, że dziecko wymaga specjalistycznej opieki.

- Nie. Cały oddział dziecięcy łącznie z lekarzami został przeniesiony do Cairns. - Rzeczowy głos Billa przypominał zardzewiałą piłę.

- A więc ja się nią zajmę. Ty będziesz od tej pory tylko rodzicem.

Wokół pielęgniarki uwijały się, przenosząc pacjentów tak, by Chloe mogła mieć swój własny pokój. Bill tylko skinął potakująco głową.

- Idź i prześpij się trochę - dodała. - Ledwie trzymasz się na nogach, a Chloe jest zbyt chora, żeby wiedzieć, czy jesteś przy niej. Poza tym to oszczędzi ci widoku, jak pobieram jej krew i zakładam kroplówkę.

Bill wpatrywał się w nią błędnym wzrokiem, ale gdy Jill chwyciła go pod ramię, posłusznie pozwolił się wyprowadzić z sali. Esther pogładziła buzię chorego dziecka, a potem pobrała mu krew, by określić jej grupę, a także potwierdzić, że to, co ją nęka, to rzeczywiście denga.

Choć dotychczas tylko u jednego pacjenta choroba rozwinęła się w zapalenie mózgu i konwulsje, tego w przypadku Chloe Esther obawiała się najbardziej. To śliczne dziecko miałoby doznać uszkodzenia mózgu? Na samą myśl o tym Esther ogarniało przerażenie. Co więc musi czuć Bill?

- Potrzebujemy jednej dodatkowej osoby, która cały czas siedziałaby przy Chloe - rzekła do pielęgniarki. - Nie dlatego, że to córka szefa, ale dlatego, że jest dzieckiem i jej stan może się zmienić z minuty na minutę.

Pielęgniarka obiecała kogoś znaleźć. Esther obejrzała pozostałych pacjentów. Panu Riskowi kazała podać więcej płytek krwi, Ryan natomiast czuł się na tyle dobrze, że obiecała mu, że jutro zostanie wypisany.

Gdy wróciła do dyżurki, czekały już na nią wyniki badania krwi. Chloe miała rzadką grupę B, odziedziczoną po Marcie, bo Bill - Esther wiedziała o tym - miał uniwersalną grupę 0. Może Marcie ma jakąś domieszkę krwi afrykańskiej lub azjatyckiej? Tam grupa B jest częstsza niż wśród białych.

W pokoju Chloe zastała młodą pielęgniarkę, która zwilżoną gąbką obmywała małe ciało.

- Bill zostawiał ją czasami w żłobku. Bawiła się tam z moim synkiem. Taka z niej była wesoła dziewczynka, a teraz... Biedna mała.

Chloe miała oczy otwarte, ale choć patrzyła na Esther, nie rozpoznawała jej. Esther nagle odwróciła się do pielęgniarki.

- Żłobek? Gdzie jest ten żłobek?

- Na parterze. Przy ładnej pogodzie dzieci mogą bawić się na dworze.

- W razie czego dzwońcie do mnie na komórkę. Niedługo wrócę.

Esther ruszyła biegiem korytarzem. Nacisnęła guzik windy, potem uznała, że szybciej będzie, jeśli skorzysta ze schodów, i zbiegła na dół. W żłobku zastała dwie opiekunki i zaledwie troje dzie-

ci. W oknach znajdowały się moskitiery, ale na podwórku ujrzała krzewy, które były doskonałą kryjówką komarów, a porzucone pod nimi zabawki, na przykład wiaderka czy kubki wypełnione deszczówką, mogą stanowić także świetne miejsce wylęgu.

- Sprawdźcie, czy na podwórzu nie zostają zabawki, które mogą gromadzić wodę? Używacie spreju przeciw owadom? Albo środka do smarowania? - Wyrzuciła z siebie te pytania z szybkością karabinu maszynowego.

Opiekunki początkowo były zaskoczone, ale po chwili na ich twarzach pojawiło się przerażenie.

- Czy dziecko zachorowało na dengę? Dziecko z naszego żłobka?

- Dziś rano przyjechałam na oddział Chloe Jackson.

- O mój Boże! - wykrzyknęły obie kobiety uniso-no. Jedna z nich mamrotała potem tylko: „biedny Bill”, druga zaczęła tłumaczyć:

- Młodsze dzieci, takie jak Chloe, nie były na dworze od czasu cyklonu. Reszta rzadko wychodziła, bo pogoda była fatalna. A jeśli już je wypuszczaliśmy, to nigdy bez uprzedniego posmarowania czymś na komary.

- Tak przypuszczałam, ale chciałam sprawdzić. Chloe była tu wczoraj, zapewne już jako nosiciel wirusa. Istnieje możliwość, że ukąsił ją tu komar i przeniósł chorobę na następną osobę. Być może na dziecko. Czy wlatują wam do środka komary?

Tym razem odpowiedziała młodsza z kobiet:

- Odkąd zaczęła się epidemia, zwracamy na nie wyjątkową uwagę. Ale byłoby nieuczciwe, gdybym twierdziła, że żaden tu nie wleciał. Czasami się to zdarza, wtedy oczywiście je zabijamy.

Ale staramy się nie używać za dużo spreju. Wiele dzieci ma na niego alergię.

- Tym razem przed wyjściem do domu rozpylcie środek we wszystkich pomieszczeniach. Zawiadomcie też rodziców o zagrożeniu. Niech uważają na wczesne symptomy u dzieci. Wygląda to początkowo jak łagodna grypa. Jeśli będą miały gorączkę, muszą skontaktować się z lekarzem.

Esther zostawiła przerażone opiekunki i ruszyła w stronę windy. Bill starał się nie powodować w mieście paniki, ale rodzice dzieci ze żłobka mają prawo wiedzieć o epidemii.

Przy łóżku Chloe siedział Bill.

- Obiecałaś, że będziesz jej pilnować - odezwał się z pretensją w głosie.

Esther wiedziała, że przemawia przez niego zmęczenie i niepokój, ale nie umiała puścić mu tej uwagi płazem.

- O co ci chodzi? Przecież cały czas ktoś przy niej jest. Mam pod opieką nie tylko twoją córkę, ale też cały oddział. I dodatkowo jeszcze muszę znaleźć źródło epidemii. Byłam właśnie w żłobku. Chciałam sprawdzić, czy mogła zarazić się tam i czy inne dzieci nie są zagrożone.

Błede policzki Billa poszarzały.

- Mój Boże! - szepnął. - Nie pomyślałem. Jeśli inne dzieci zachorują...

Ramiona mu opadły i ukrył twarz w dłoniach. Esther miała ochotę przytulić go i pocieszyć, ale nie było na to czasu.

- Zadzwońeś do matki? - spytała.

- Powiniennem był... - Potrząsnął głową.

- Ja zadzwonię - przerwała mu. - Albo nie, pojedę do domu. Jeśli twoja mama będzie spała, zostawię jej po prostu kartkę. Nie potrwa to długo, a może przy okazji spotkam Byrona i poproszę go, żeby sam pojechał do Robinson i przesłuchał resztę mieszkańców. Przygotowałam ankiety, więc nie będzie miał z tym trudności.

Bill podaj: Esther klucze i odwrócił się z powrotem do Chloe. Żadnego lekkiego nawet uścisku palców, nawet słowa pożegnania. Ale czego tu się spodziewać? Miał wyrzuty sumienia, że nie spędził z córką poprzedniego popołudnia, i zapewne częściowo obwinia o to także Esther.

Wyszła z ciężkim sercem. Humor poprawił jej się dopiero na dworze. Zza chmur wyjrzało słońce, jego blask złagodził obrazy zniszczenia, jakie ją otaczały. Było gorąco i duszno, wilgoć parowała z namokłej ziemi. Był to jednak upał, który nie męczył, a oczyszczał. I nie sprzyjał komarom.

Przed budynkiem Esther spotkała sprzątaczkę. Kobieta przedstawiła się jako Margie.

- Czy możemy porozmawiać innym razem? Przepraszam, ale trochę się spieszę. - Esther chciała jak najszybciej wrócić do szpitala. - Jeśli pojawi się tu żołnierz, poprosi go pani, żeby na mnie zaczekał?

Pobiegła do windy, wjechała na najwyższe piętro i zapukała cicho do drzwi. Nikt nie otworzył, więc skorzystała z kluczy Billa. W salonie leżały butelki z pićem dla Chloe, kubki po kawie i porzucone pieluszki. Gwyneth na pewno śpi, pomyślała. Nigdy nie zostawiłaby w domu takiego bałaganu.

Podeszła na palcach do sypialni teściowej i zajrzała do środka. Gwyneth nie spała - leżała nieprzytomna, w kałuży krwawych wymiocin. Esther podniosła słuchawkę telefonu, przy którym wi- siał numer do szpitala, i poprosiła o przyjazd karetki, a potem szybko zajęła się kobietą.

Obmyła jej twarz, a potem przebrała ją w czystą koszulę nocną. Gdy przyjechała karetka, powieki Gwyneth zadrgały.

- Pojedziesz do szpitala. Bill się tobą zajmie - szepnęła jej do ucha Esther i zwróciła się do ratowników: - Potrzebuje kroplówki. Natychmiast. Załóżcie ją już w samochodzie.

Gwyneth rozejrzała się wokół błędnym wzrokiem, chwytając kurczowo rękę Esther.

- Nie mogę iść do szpitala. Muszę się opiekować Chloe - wy- bełkotała.

- Chloe już tam jest. Wszystko w porządku - uspokajała ją Es- ther. - Nic jej nie będzie. Ty też z tego wyjdiesz. - Zamilkła i ucałowała Gwyneth w policzek. - Obiecuję.

Kiedy sanitariusze odjechali, Esther dokończyła sprzątanie i wyszła przed budynek.

Czekał tam na nią Byron, zajęty rozmową z Margie. Esther wy- jaśniła mu, że sytuacja jest kryzysowa, wręczyła ankiety i wytłu- maczyła, co ma zrobić. Byron okazał się bystrym współpracowni- kiem. Słuchał uważnie jej instrukcji, kiwając głową i zadając py- tania, które świadczyły o tym, że dobrze rozumie, jakie zadanie mu powierzono.

- Margie też mieszka w Robinson - dodał Byron. - Widziała nas wczoraj w telewizji.

- Niech to szlag - mruknęła Esther. - Nie pomyślałam o Margie i całej reszcie takich jak ona. Przecież oni pracują w różnych częściach miasta. Nie możemy poprzestać na odnalezieniu źródła epidemii. Musimy odizolować wszystkich potencjalnych nosicieli i zorganizować wielką akcję tępienia komarów. W przeciwnym razie to miasto stanie się śmiertelna pułapką. A ty na co czekasz? - krzyknęła nagle na Byrona. - Idź już! Ja będę w szpitalu na czwartym piętrze. Jak wrócisz, poproś, żeby mnie zawołali. Pospieszmy się, Byron. Spieszmy się, zanim będziemy tu mieli więcej ofiar.

RS

Rozdział siódmy

Choroba Chloe i Gwyneth oznaczała, że denga rozprzestrzenia się poza teren Robinson. Zagrożone jest całe Jamestown. Gdy tylko Esther dotarła do szpitala, poprosiła w recepcji o połączenie z dyrektorem.

- Chciałabym umówić się z panem na rozmowę za godzinę. Proszę też zaprosić na spotkanie władze miasta i kogoś z wyższej kadry oficerskiej. Musimy obmyślić plan zatrzymania epidemii.

Dyrektor zdawał się trochę zaskoczony jej żądaniem, ale zgodził się. Zadowolona z siebie, Esther zadzwoniła jeszcze do Geoffa, swojego szefa z Centrum Kontroli Chorób.

Zanotowała jego uwagi i z zadowoleniem przyjęła propozycję, że przed jej spotkaniem zatelefonuje i porozmawia z dyrektorem szpitala. Uznała, że dobrze będzie, jeśli ktoś o większym autorytecie podkreśli powagę sytuacji.

Wróciwszy na oddział, sprawdziła, jak się ma Chloe. Spojrzała jeszcze raz na jej kartę i wyniki z laboratorium, gdzie badano krew dziewczynki. Grupa B jest bardzo rzadka, ma ją tylko dziesięć procent Europejczyków. Esther wolała się upewnić i uniknąć tragicznej pomyłki. Zadzwoniła do laboratorium z prośbą o zbadanie jeszcze jednej próbki krwi Chloe. Być może pomyśleli, że przesadza. I chyba mają rację. Dlaczegoż Marcie nie mogła mieć tak rzadkiej grupy krwi?

Drugi test dał ten sam wynik, poprosiła więc, by przysłano jej zapas krwi dla dziecka. Chloe jeszcze nie potrzebowała transfuzji, ale Esther wolała, by krew była pod ręką. Po doświadczeniach z panem Riskiem wiedziała, że stan pacjenta może pogorszyć się bardzo gwałtownie.

Akurat w momencie, w którym wybierała się na spotkanie z dyrektorem, przyniesiono worki z krwią. Esther napisała nazwisko Chloe na torbie i przekazała ją pielęgniarce. Wówczas na salę wwieziono Gwyneth. Towarzyszyli jej Bill i lekarz z innego oddziału. Obaj, a także sanitariusze, mieli na sobie ubrania ochronne. Wyglądają trochę jak procesja kosmitów, pomyślała Esther, rozbawiona zupełnie niestosownie do sytuacji.

Gwyneth przewieziono do przygotowanej dla niej sali. Bill odłączył się na chwilę od grupy.

- Nie sądzisz, że powinienes się skontaktować z matką Chloe?
- szepnęła mu do ucha Esther.

- Z Marcie? - upewnił się z wyraźnym niedowierzaniem. -
Dlaczego miałbym to zrobić?

- Żeby dać jej znać, że Chloe choruje. Twoja matka przyjaźni się z jej rodzicami, więc Marcie na pewno się w końcu dowie i będzie się zastanawiać, dlaczego nic jej nie powiedziałeś.

- Tylko ci się tak wydaje. - Jego zimny głos świadczył o tym, że Esther naruszyła jakąś granicę, ale nie dała się zbić z tropu.

- Tak się powinno robić - podkreśliła.

- Myślisz, że to ją obchodzi? Uważasz, że osoba, która porzuciła dziecko w dniu jego urodzenia, jest ciekawa, czy ono żyje, czy umarło? Ja w to wątpię. Wierz mi, Marcie ma to w nosie. -

Zamilkł, a potem dodał jeszcze: - To się nazywa ironia losu. Pierwsza żona odeszła ode mnie, ponieważ straciła dziecko, a druga - ponieważ je urodziła.

Esther poczuła się, jakby ktoś ją uderzył.

- Zostawiła cię, bo zaszła w ciążę? - spytała, zapominając, że wokół znajduje się kilka osób, którym ta rozmowa może wydać się sensacyjna. - Urodziła i odeszła?

- Powiedz to głośniej - warknął Bill i skierował się do sali, gdzie leżała Chloe.

Usiadł przy łóżeczku i popatrzył na śpiące dziecko. Pożałował, że w taki sposób zakończył dyskusję. To nie było w jego stylu, już raczej w stylu Esther. On zawsze naciskał, by konflikty rozwiązywać rozmową. Jednak myśl o zawiadomianiu Marcie sprawiała mu fizyczny ból. Nie umiałby odezwać się do niej bez gniewu i żalu. Nie dlatego, że odeszła od niego, ale dlatego, że porzuciła Chloe.

Nie potrafi wytłumaczyć tego Esther. Tego, jaki jest wyczerpany wydarzeniami ostatnich dni. Tym, co się działo z jego dzieckiem, z matką, z nim samym i Esther. Zdawało mu się, że całe jego życie rozpada się na atomy.

Ale nawet w takiej sytuacji nie powinien był zachować się wobec niej w ten sposób. Esther jest troskliwa, umie współczuć. Jest odwrotnością egoistycznej Marcie, która potrafiła tylko brać, nigdy dawać. Esther zapewne uznała, że jest małostkowy i nie chce kontaktować się z Marcie, bo jej nienawidzi. Na kogo wyszedł w jej oczach?

Usłyszał jęk i zdziwił się, gdy zrozumiał, że słyszy własny głos. Spojrzał na śpiącą dziewczynkę.

- Czy nikt nas nie pokocha, Chloe? - zapytał cicho, ale i tych słów dziecko nie słyszało.

Esther serce wprost pękało ze współczucia dla Billa. Ileż musiał wycierpieć, gdy drugie małżeństwo rozpadło mu się w taki sposób? Jakby ona sama nie zraniła go wystarczająco głęboko, uciekając od niego, ponieważ nie umiała w żaden inny sposób poradzić sobie z żalem, jaki wypełnił ją po stracie dziecka. Dowiedziała się przy tym, że od bólu uciec się nie da. Idzie za tobą, dokądkolwiek się udasz. Jedyne, co dało się zrobić, to zamknąć się w sobie, ukryć za pancerzem, o którym mówił Bill.

Bill. To przede wszystkim o niego chodzi. O to, co dzieje się teraz, nie kiedyś. Bill jest na skraju wytrzymałości. Jak go namówić, by odpoczął, skoro jego dziecko i matka są chore? Nie miała nawet czasu, by się nad tym zastanawiać.

Powiedziała pielęgniarce, że udaje się na spotkanie z dyrektorem. Przed samym wyjściem zajrzała jeszcze do Gwyneth, która odzyskała przytomność i skarżyła się na ból w plecach. Esther przypomniała sobie, że czytała o stosowaniu kortyzonu w ciężkich przypadkach dengi.

Odnalazła swe notatki i sprawdziła dawkowanie leku. Była już spóźniona, więc poprosiła Janet o podanie go Gwyneth.

Dyrektor przedstawił się jako John Sandon.

- Słyszałem już, że córka i matka Billa są wśród chorych - powiedział. - Dzwonił do mnie pani szef i wychwalał pani kompetencje. Może filiżankę kawy, nim wszyscy się zejdą?

- Chętnie - zgodziła się, zadowolona, że może na parę minut usiąść. - Gdybym jeszcze mogła dostać do niej kanapkę, byłabym zachwycona. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś jadłam.

- W takim razie powinna pani zjeść natychmiast - rzekł dyrektor uprzejmie, podniósł słuchawkę i zamówił w kuchni śniadanie oraz dzbanek kawy. - A za godzinę poproszę o kawę i ciastka dla sześciu osób - dodał.

Esther zdziwiła się. Aż sześć osób?

- No więc jak nam idzie rozpracowywanie epidemii? - zapytał znów, zwracając się do niej.

- Dopóki Gwyneth i Chloe Jackson nie zachorowały, miałam wrażenie, że zaczynamy nad nią panować. Nawet najpoważniej chorzy jakoś się trzymają. Jedną osobę wypisujemy już dziś. Bill wysłał próbki krwi do laboratorium w Brisbane, gdzie badają, czy da się przenieść tę konkretną odmianę dengi ze zwierzęcia na zwierzę, bez pośrednika w postaci owada. Na razie im się nie udaje. - Esther spojrzała na Johna Sandona, by sprawdzić, czy wyraża się jasno. Dyrektor jest tylko menedżerem i należy do niego operowanie pieniędzmi i liczbami, a nie rozwikływanie zagadek medycznych.

- Sprawdzacie, czy można się zarazić poprzez kontakt z chorym. - Tym jednym zdaniem rozwiązał jej wątpliwości.

- To mało prawdopodobne, ale warto wykluczyć taką możliwość. Na wszelki wypadek wszyscy na oddziale noszą ubrania ochronne.

- Czyli, jeśli chodzi o szpital, robimy wszystko? - Esther potwierdziła. - Ale, jak rozumiem, musimy zapobiec mnożeniu się dalszych przypadków. Dlatego zwołała pani tę radę wojenną.

Dalszą dyskusję przerwało przyniesienie śniadania dla Esther. Patrząc na zastawioną tacę, Esther pomyślała, że warto by zamówić podobny posiłek dla Biła. Z pewnością biedak od wczoraj nie jadł.

Dyrektor wyszedł z gabinetu pod jakimś pretekstem, zostawiając Esther samą. Mogła więc zjeść w spokoju. I pomyśleć o Billu.

Nie знаła nikogo takiego jak on. Nie tylko dlatego, że urodził się w Stanach, mówił z amerykańskim akcentem i wywodził się z całkowicie innego środowiska i innej kultury. Nie spotkała w życiu nikogo, kto by okazał jej tyle miłości i troski. Broniała się przed jego opiekuńczością, protestowała przeciwko temu, co wydawało jej się przesadą. Twierdziła, że jest staroświecki - typowy dżentelmen z Południa. Ale jej kpiny nie miały wpływu na jego zachowanie. Nadal wstawał, gdy wchodziła do pokoju, otwierał przed nią drzwi, odsuwał krzesło, gdy siadała do stołu, przyjeżdżał po nią, gdy pracowała do późna i wykonywał tysiące innych grzecznościowych gestów, do których nawykł.

Skończyła jeść grzankę i sączyła właśnie kawę, gdy za jej plecami otworzyły się drzwi. Przekonana, że to wszedł dyrektor, odstawiła filiżankę oraz talerz na tacę i odwróciła się. Za nią, jakby przywołany jej myślami, stał Bill. Ogolony, wykapany, w świeżej koszuli i krawacie.

- W końcu jestem ordynatorem tego szpitala - zauważył, siadając obok Esther.

- Ale... przecież całą noc nie spałeś. I Chloe, i twoja matka... Wyglądasz zupełnie inaczej...

Esther uświadomiła sobie, że czas przerwać tę nieskładną wypowiedź, bo wrócił dyrektor, prowadząc dwóch innych mężczyzn

i młodą kobietę z notatnikiem i dyktafonem. Skinął głową Billowi, zapytał o zdrowie Chloe i Gwyneth, ale nie wydawał się zaskoczony jego obecnością. Czyżby sam go zaprosił? Bo nie do wierzał kwalifikacjom Esther?

- Nie przyszedłem tu dlatego, że jesteś kobietą - mruknął do niej Bill, a ona aż skrzywiła się, wściekła, że odczytał jej myśli.

- Nie wiesz nawet, co mam zamiar zaproponować!

- Nie. Ale jestem pewien, że będzie to coś mądrego. Odsunęła się, by spojrzeć mu w twarz, sprawdzić,

czy potrafi czytać w myślach choć w połowie tak dobrze jak on, ale Bill już odwrócił się do mężczyzny siedzącego po drugiej stronie i zobaczyła tylko jego policzek, ucho i małą bliznę nad uchem. Błysnęła jej w głowie zupełnie nieestosowna myśl, jak wrażliwa erotycznie jest ta blizna, rozgrzewając ciało wspomnieniem namiętności.

- Doktor Esther Shaw. - John Sandon rozpoczął już prezentację zebranych. Przez tę bliznę Billa Esther przegapiła większość nazwisk.

- Dzień dobry wszystkim - powiedziała.

- Mów - szepnął jej Bill do ucha. - Czekaemy na twój plan.

Plan? Jaki plan? Od czego zacząć? Usiłowała zebrać myśli.

- Na początek nakreślimy sytuację, w jakiej byliśmy przed przyjazdem Esther - odezwał się Bill.

Zamiast wdzięczności, poczuła wściekłość. Właśnie udowodniła swą niekompetencję, tak jak zapewne spodziewał się dyrektor, skoro wezwał Billa. Ale w miarę jak Bill mówił, odzyskiwała równowagę.

- Esther szukała źródła choroby - usłyszała - i wyciągnęła już pewne wnioski. Ale przypadki mojej matki i dziecka dowodzą, że choroba wyszła poza Robinson.

- Czy może się przenosić innymi drogami niż ukąszenie komara? Można być nosicielem, samemu nie będąc chorym? - przerwał mu oficer.

- Jest to praktycznie niemożliwe - odparła Esther.

- Obawialiśmy się tego, ale rozmawiałam dziś rano z moim szefem z Brisbane, któremu wysłaliśmy próbki krwi pacjentów. Twierdzi on, że mimo prób na zwierzętach laboratoryjnych nie udało im się przenieść choroby, omijając proces jej wylegu w komarze. Próbowali także innych dróg, kleszczy i pcheł. Bez skutku. Sprawdzano, czy da się ją przenieść przez powietrze, krew, inne płyny cieleśne. Nie udało się. Badania jeszcze trwają, ale możemy już spokojnie twierdzić, że mimo iż jest to nowa i wyjątkowo niebezpieczna odmiana dengi, przenosi się ją w tradycyjny sposób.- Kątem oka zauważyła, jak Bill z ulgą opadł na krzesło.

- Czyli przez komary - potwierdził ktoś z zebranych.

- A więc najlepiej byłoby zorganizować program likwidacji komarów.

- A w międzyczasie walczyć z epidemią - dodała Esther. - Zapewne ileś osób zostało już zarażonych dengą, choć jeszcze nie mają żadnych objawów.

Należy zacząć od kontroli tych, u których choroba miała tak łagodny przebieg, że nie przyszli do szpitala. Nie wiadomo, jak wiele osób jest w tej grupie, ale sądzę, że ci, których mamy w szpitalu, to mniejszość. Wczoraj rozmawiałam z trzydziestoma rodzinami z Robinson. W dwunastu z nich były osoby, które w ubie-

głym miesiącu zdradzały objawy podobne do grypy, ale nie na tyle intensywne, żeby pójść z nimi do lekarza. Jeśli choć połowa tych osób została ukąszona przez komara w trakcie okresu zakaźnego, czyli we wczesnym stadium choroby, to liczba potencjalnych zagrożonych znacznie wzrasta.

- Co możemy zrobić? - zapytał oficer.

- Chciałabym przenieść wszystkich mieszkańców Robinson na południe, gdzie warunki klimatyczne nie sprzyjają rozmnażaniu tutejszych komarów. Pozostaliby tam przez dwa tygodnie - to najdłuższy możliwy okres wylegu choroby. W razie gdyby ktoś zachorował, mógłby zostać przewieziony do miejscowego szpitala. Podczas ich nieobecności my musielibyśmy opryskać całe miasto i wyeliminować wszystkie zainfekowane komary. Warto pamiętać, że one wcale nie są głupie. Potrafią ukrywać się pod domami, więc spryskiwacz zamontowany na ciężarówce nie wystarczy. Potrzebujemy ludzi, którzy przejdą miasto metr po metrze, przyskajac pod domami i w krzakach.

- My możemy to zrobić - odezwał się oficer, a Esther miała ochotę go ucałować. - Zabierzemy ich do obozu wojskowego na południu. Jest tam szpital.

- A my możemy wydać oficjalne oświadczenie, że przeniesienie jest absolutnie konieczne, gdyby nie chcieli się ruszyć - dodał przedstawiciel rady miasta.

- Mam jednak pewne wątpliwości. Czy choroba nie dotyczy także osób spoza Robinson? - dodał, spoglądając na Billa.

- Sprzączka w budynku, w którym mieszka Bill, pochodzi z Robinson - wyjaśniła Esther. - Dowiedziałam się o tym dopiero dziś rano i nie miałam czasu z nią porozmawiać, ale jest bardzo

możliwe, że to ona przyniosła wirusa, który za pośrednictwem komara został przeniesiony na Chloe i Gwyneth.

- Moja matka zabierała Chloe na basen, do brodzika. Wokół rosną palmy i krzewy idealne do wylęgu komarów - odezwał się Bill. - A w wodzie środki odstraszające owady mogły się zmyć.

- Od momentu, kiedy zostały ukąszone, Chloe i Gwyneth także są nosicielkami choroby - przypomniała zebranym Esther. - Gwyneth chodziła po zakupy, a Chloe do żłobka.

- Nosiciele może być więcej. Mogą pracować w całym mieście. Tak jak na przykład ta sprzątaczką - zauważył dyrektor szpitala.

- Wątpię, czy rzeczywiście jest ich aż tak wielu - przerwał przedstawiciel rady miasta. - Najbardziej zniszczona została najdroższa dzielnica, przy samej plaży. Potencjalni pracodawcy sprzątaczek zostali ewakuowani. Drogi i mosty uległy zniszczeniu, a Robinson do tej pory jest odcięte od transportu publicznego. Osoby stamtąd, które normalnie pracowałyby w wielu miejscach, takich jak na przykład szpital albo centrum handlowe, po prostu siedzą w domach.

- A Margie, ta sprzątaczką? Czy to nie dowód, że ktoś z Robinson może codziennie przyjeżdżać do miasta? - zapytał Bill.

- Ona może mieć krewnych w centrum i mieszkać u nich. Pamiętasz? Mieliśmy pojedyncze przypadki chorób w innych rejonach miasta.

- Wystarczy więc ewakuować całe Robinson i zlikwidować komary - podsumował dyrektor.

- I nadać w radiu komunikat, aby ludzie z symptomami grypy, czyli gorączką, bólem gardła czy stawów zgłaszali się do szpitala - dodała Esther.

Pukanie do drzwi obwieściło, że przyniesiono herbatę. Zdawało się, że wszystkie najważniejsze kwestie zostały omówione.

- Jest jeszcze jedna sprawa, którą warto wziąć pod uwagę - wtrącił Bill. - Powinniśmy na miesiąc zamknąć granice miasta, zwłaszcza dla wyjeżdżających. Dzięki takiej kwarantannie unikniemy przypadkowego przeniesienia choroby do innego regionu.

Miesiąc? Esther jeszcze sekundę temu uważała, że jej praca niemal została zakończona. Domknęłaby badania, Gwyneth i Chloe wyzdrowiałyby.

Miesiąc? Miałyby zostać na Boże Narodzenie?

Nie. Nie może spędzić świąt z Billem.

- Dobry pomysł - przytaknął facet z rady miasta.

- Czy ktoś ma ochotę na kawę? - zapytał dyrektor szpitala, ale Esther potrząsnęła głową i wstała.

Rosła w niej panika. Tak silna, że miała wrażenie, że wszyscy zebrani widzą, jak dygocze.

- Ja muszę wracać do pacjentów - powiedziała. Bill wstał także i wyszedł wraz z nią. W milczeniu przeszli przez korytarz w stronę wind.

- Twoja mama i Chloe jakoś się trzymają - powiedziała, chcąc przerwać niezręczną ciszę. - Ktoś dałby ci znać w razie, gdyby nastąpił kryzys.

- Trzymają się - powtórzył. Drzwi windy rozsunęły się. - Nie bardzo to pocieszające.

- Nie zamierzam oferować ci fałszywej nadziei ani kłamstw. Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli przetrwają pierwsze stadium gorączki, wyjdą z tego.

- A jeśli nie przetrwają?

- Owszem, przetrwają.

Bill przepuścił Esther w drzwiach do sali, w której znajdowały się ubrania ochronne. Gdy znaleźli się w środku, przyciągnął ją do siebie i oparł brodę o czubek jej głowy.

- Przepraszam - mruknął. - Odgrywam się na tobie. To dlatego, że boję się o nie. Za dużo tego wszystkiego. Przepraszam cię, Esther.

Rozluźniła się, a potem uściśnęła go.

- Zaakceptuję wszystko, co tylko ci pomaga, Bill - powiedziała spokojnie, ale on znał ją i doskonale wiedział, że jej serce płacze.

- Wyżywaj się na mnie, jeśli w ten sposób jest ci łatwiej przez to przejść.

Zacisnął ramiona i poczuł, jak jej piersi wznoszą się i opadają w oddechu.

- Dziękuję. - Pocałował ją w jedwabiste włosy.

- Może teraz ty zostań z Chloe i twoją mamą. Ja zajmę się resztą pacjentów - zaproponowała Esther.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała za dużo pracy - odrzekł, ale nie protestował, bo rzeczywiście chciał być przy najbliższych.

Zatrzymał się przy biurku i wziął wydruki z aparatury. Rytm serca i oddechu Chloe wskazywały na to, że dziecko przez cały czas spało. Stan Gwyneth był mniej stabilny, ale najnowsze wyniki były nieco lepsze niż poprzednie.

- Esther kazała podać jej kortyzon. Twierdziła, że nie zostało dowiedzione, czy rzeczywiście skraca przebieg choroby, ale na pewno jeszcze nikomu nie zaszkodził - wyjaśniła pielęgniarka. - O dziewiątej pięćdziesiąt pięć, tuż przed waszym zebraniem. Od tego momentu widać poprawę.

Bill poszukał wzrokiem Esther, chciał z nią porozmawiać o nowym leku. Dostrzegł ją za szybą, pochyloną nad panem Armstrongiem. Jego monitor, który Bill również widział zza szyby, wskazywał, że pacjent znów jest w stanie krytycznym.

- Konwulsje - oznajmiła Esther, ledwie odwracając się do niego. - Stracił przytomność.
- Zapalenie mózgu? Esther przytaknęła smutno.
- A już sądziliśmy, że nie występuje przy tej odmianie dengi.
- Musimy to przeczekać. Nic innego nie da się zrobić.
- Idź, posiedź z mamą i Chloe. Dla nich też nic innego nie możesz zrobić.

W tak wielu sytuacjach jestem bezsilny, pomyślał.

Przygnębienie Esther nieco ustąpiło, gdy odwiedziła resztę pacjentów. Pan Risk zdrowiał. Gdy weszła do jego pokoju, otworzył oczy i uniósł dłoń w geście powitania.

- Chyba czuje się pan dużo lepiej - zauważyła Esther, odchylając jego maskę tlenową, by usłyszeć odpowiedź.
- Moglibyście już zdjąć ze mnie te rurki i przewody - mruknął słabym głosem.
- Pomyślę o tym i dam panu znać po południu — obiecała, pamiętając jednak jego niedawny kryzys.

- Coś działa, nie wiem co, może po prostu słońce - rzekła do Billa nieco później, gdy dołączyła do niego w pokoju Chloe. - Mammy kłopot z Armstrongiem, ale Risk chce, żeby go odłączyć od monitorów, a dwie inne osoby, które były na intensywnej terapii, kiedy przyjechałam, teraz czują się dużo lepiej.

Bill trzymał dziecko w ramionach. Spało, opierając zaczerwienioną buzię o pierś ojca.

- Nie sądzisz, że i ją należałoby podłączyć do monitorów? - zapytała.

- Nie potrzebuje ich, kiedy z nią jestem - odparł.

- Od czasu do czasu musisz mieć przerwę. Bill uśmiechnął się.

- Na przykład teraz. - Zawahał się, a Esther dobrze wiedziała, o co chciałby poprosić, jak również i to, że nigdy tej prośby nie wypowie.

- Daj mi ją - zaproponowała więc sama. - Mogę z nią trochę posiedzieć. Ty pobądź przy matce.

Bill podał jej śpiącą dziewczynkę. Chloe poruszyła się i pisnęła jak ptaszek, ale zaraz uspokoiła się, a Esther usiadła na nagrzanym przez Billa krześle.

- Kochanie, kochanie, śpij słodko - podśpiewywała cichutko. Kiedy tak śpiewała, coś w niej pękło i łzy, których się nie spodziewała, popłynęły jej po policzkach i kapały na Chloe.

Rozdział ósmy

Niestety, nawet jeśli słońce miało właściwości uzdrawiające, to nie działały one na Gwyneth, której stan raptownie się pogorszył. Esther kazała podać jej płytki krwi, a następnie pełną krew.

- Niech to szlag - mruknęła, stając nad nieprzytomną kobietą. - Nie umrzesz mi tutaj. Nie pozwolę, zrozumiano? Jak będzie się czuł Bill? Kto się zajmie Chloe?

Chloe... Dziecko nie czuło się wcale o wiele lepiej niż babcia. Esther liczyła na fakt, że małe dzieci zdrowieją szybciej niż dorośli, ale wciąż obawiała się kryzysu. I tego, jak zniesie to Bill.

Pielęgniarka wsunęła głowę do pokoju.

- Doktor Shaw? Na dole jest ktoś, kto chce się z panią widzieć.

Przy recepcji stał uśmiechnięty Byron.

- Chyba wiem, skąd się to wzięło - oznajmił z przejęciem. - Udało mi się porozmawiać także z chorymi spoza Robinson i wszystko układa się w całość.

- Wykonujesz moją pracę lepiej niż ja sama - zauważyła Esther. - Chodź, usiądziemy.

W poczekalni Byron otworzył teczkę i pokazał jej wypełnione ankiety. Przejrzeli je jedna po drugiej. Esther, choć wiedziała, że będzie musiała nad nimi popracować, od razu zauważyła, że odpowiedzi rzeczywiście układają się w pewien schemat.

- Ci tutaj - Byron wyciągnął trzy kartki, które oznaczył gwiazdkami - odwiedzili krewnych na wyspach w Cieśninie Torresa miesiąc przed huraganem. Ta osoba zachorowała tuż po powrocie do domu, a ta - sięgnął po kolejną kartkę - przyjechała z miasta, żeby ją pielęgnować.

Esther rozpoznała nazwisko jednej z niewielu kobiet, które były pacjentkami szpitala.

- A więc wszystko pasuje. Jestem prawie pewna, że to ta wyspa, na której mieli kilka przypadków dengi w ubiegłym roku. Pacjentów przewieziono do Cairns. To oznacza, że musimy się natychmiast dowiedzieć, jak się tam zwalcza komary. Wydział zdrowia powinien był zacząć jakąś akcję po tych wcześniejszych zachorowaniach, ale tak czy owak mamy punkt zaczepienia. - Była tak zadowolona z otrzymanych informacji, że znów ucałowała Byrona w policzek.

- Dziękuję ci. Zdjąłeś z moich ramion wielki ciężar. Niestety, w tym samym momencie dostrzegła, jak ktoś odwrócił się do niej plecami i ruszył w stronę wind w holu głównym. Znajome plecy, znajome ramiona.

Podziękowała Byronowi jeszcze raz, zebrała ankiety i udała się z powrotem do pacjentów. Czworo z ich znalazła w jednej sali zajętych grą w karty.

- Pięknie. Przyłapałam was, symulanci! Udajecie chorych, a macie siły na hazard! - Odegrane przez nią oburzenie rozbawiło ich. Esther stwierdziła, że nie będzie im przeszkadzać w grze. Co najmniej trójkę z nich postanowiła zwolnić do domu już następnego dnia.

Potem nie było już tak wesoło. Pan Armstrong nadal nie odzyskał przytomności, Gwyneth była w bardzo złym stanie, pogorszył się też stan Chloe, która oddychała szybko, a jej ciśnienie znacznie spadło.

Esther zaordynowała podanie jej krwi. Chciała najpierw porozmawiać o tym z Billem, by upewnić się, że zgadza się na transfuzję jako rodzic i lekarz, ale postanowiła już zacząć przygotowania.

Bill wszedł w chwili, gdy trzymała w ręku worek z krwią. Na jej widok przybrał tak wściekłą minę, że zabrakło jej odwagi, by się do niego odezwać. Co takiego znów zrobiła źle? Dopiero po chwili odważyła się go zagadnąć.

- Bill, chyba powinniśmy podać Chloe krew. Zgadzasz się?
- Tak, też o tym myślałem. Nagle wyrwał jej worek z dłoni.
- To jej podajesz? Co ty chcesz zrobić? Zabić ją? Nie zrobiłaś badania? Nie ustaliłaś grupy? Pomyliłaś torby? Usiłujesz skrzywdzić kolejne moje dziecko?

Była tak wstrząśnięta jego wybuchem, że ledwie poczuła cios, jaki wymierzył jej ostatnim zdaniem.

Nie mogła pojąć, co wzbudziło wściekłość Billa. Jako lekarz starała się zachować spokój, ale wiedziała, że jako kobieta nie wybaczy mu tego, co powiedział. Nigdy.

- O czym ty mówisz, Bill? Twierdzisz, że źle o-kreśliliśmy grupę krwi? Wiem, że jest rzadka, dlatego sprawdzałam dwa razy. Wyniki wyszły takie same, więc zamówiłam krew zgodnie z nimi.

- Niemożliwe, ona nie może mieć grupy B - oświadczył Bill głosem już spokojniejszym, ale wciąż pełnym napięcia.

- Wiem, że ty masz grupę 0 - powiedziała - ale krew się dziedziczy albo po jednym rodzicu, albo po drugim. Więc ona odziedziczyła ją po Marcie.

Zanim skończyła, Bill odwrócił się z twarzą tak bladą, że wyciągnęła rękę, by w razie potrzeby go podtrzymać. Zapewne znał grupę krwi Marcie i wiedział, że nie była to grupa B. Jeśli więc Chloe nie ma grupy krwi po matce, Bill nie jest jej ojcem.

- Możemy zrobić jeszcze jedno badanie - zaproponowała, ale Bill już odszedł do pokoju Chloe i stanął nad jej łóżeczkiem.

W obawie, że ten cios go złamie, Esther poszła za nim.

- Nie sprawdzaj już więcej. Jeśli zrobiłaś to dwa razy, na pewno wynik jest prawidłowy. Zawsze byłem taki dumny, gdy ludzie mówili, że Chloe jest podobna do mnie...

- Bo jest podobna. - Esther objęła go w pasie. - Jesteś z nią od dnia jej narodzin, ciebie zna najlepiej. Nic tego nie zmieni. Może nie jesteś jej biologicznym ojcem, ale co z tego? Czy biologia może równać się z miłością?

- Nie rozumiem, jak możesz być dla mnie taka dobra, po tym, co ci nagadałem - mruknął Bill.

- Przemawiał przez ciebie strach i ból - powiedziała tylko i zostawiła go z dzieckiem samego. Chloe potrzebuje ojca, a Bill był jedynym, jakiego ma.

Poprosiła pielęgniarkę, by uważnie obserwowała Chloe.

- Zwykle reakcją na transfuzję jest niewielki wzrost temperatury. Zwróć na to uwagę i, proszę, pamiętaj, żeby ją chłodzić. - Nie dodała nic o swoich obawach związanych z konwulsjami i możliwością zapalenia mózgu.

Udała się do gabinetu Billa, gdzie zabrała się za analizę wyników zebranych przez Byrona. Początki były trudne, w głowie wciąż kłębiły się jej myśli o Billu i Chloe, ale w miarę jak pracowała, coraz bardziej zagłębiała się w analizę informacji i wreszcie całkowicie pograżyła się w tym zajęciu. Pukanie do drzwi pode-rwało ją na równe nogi.

- Proszę! - zawołała.
- Co ja mam robić? - zapytał Bill.
- Czy Chloe się zmieniła?

Bill opadł na krzesło i uniósł na nią udęczone oczy.

- Dlaczego pytasz?
- Bo skoro ona się nie zmieniła, to nie widzę przyczyn, dla których ty miałbyś zmienić swój stosunek do niej.

Bill ukrył twarz w dłoniach, a Esther zapomniała, że miała mu nigdy nie wybaczyć. Podeszła do niego, objęła i przycisnęła jego głowę do siebie.

- Bill, przecież ty nie jesteś typem człowieka, który wierzy, że najważniejsza jest krew z krwi i kość z kości. Pomyśl tylko. Niemowlę umiera, jeśli ktoś dorosły się nim nie opiekuje. Ta całkowita zależność dziecka od nas powoduje, że przywiązujemy się do niego i z tego wyrasta miłość. Chloe jest twoim dzieckiem. Ty kochasz ją, a ona ciebie. Nic się tu nie zmieniło. - Czują, jak dy-gocze.

- To, co powiedziałem wcześniej... jest niewybaczalne. - Patrzył jej w oczy, a ból, jaki malował się na jego twarzy, przekonał ją, że mówi szczerze. - Skrzywdziłem cię umyślnie. Wcale nie dlatego, że oszalałem ze strachu o matkę i dziecko. Zrobiłem to, bo widziałem cię na dole z tym żołnierzem i moja zazdrość była

tak silna, jakby wezbrała we mnie jakaś fala. Esther, minęło trzy lata, odkąd się rozstaliśmy, a ani mój umysł, ani ciało nie mogą pogodzić się z tym, że nie ma cię przy mnie i nie mogę cię kochać. Nie wspominając już o wzajemności.

Odsunął się od niej, po raz kolejny kryjąc twarz w dłoniach. Kochać? Czy Bill powiedział właśnie, że ją kocha? Ale teraz nie ma przecież czasu na rozmowy o miłości.

- Musimy przetrwać tę noc, potem jeszcze jutro i pojutrze. Później wszystko będzie dobrze - powiedziała, dotykając jego gestych, krótkich włosów.

Zapewne usłyszał niepewność w jej głosie albo wziął zmianę tematu za odrzucenie, bo wyprostował się i rzekł:

- Ja zostanę tu z mamą i Chloe. Może pojedziesz do mieszkania i się prześpisz? - Wskazał na biurko zarzucone dokumentami.

- Nic się nie stanie, jeśli ta praca poczeka jeden dzień. Masz klucze?

Klucze? Przez chwilę nie miała pojęcia, o czym Bill mówi, ale dotknęła kieszeni i poczuła pod palcami wypukły kształt pęku kluczy.

- Tak. Wydawało mi się, że wyszłam od ciebie z domu wieki temu, a to było zaledwie dziś rano.

Bill uśmiechnął się słabo.

- Czasami są takie dni w naszej pracy.

Idąc chwilę później korytarzem, zastanawiał się jednak, czy normalnym ludziom rzeczywiście zdarzają się aż takie dni, czy też może tylko do niego kłopoty zlatują się jak muchy do zepsutego mięsa?

Kłopoty! Matka uważała, że Esther to kłopot, ale dla niego wszystko, co się z nią łączyło, przynosiło czystą radość. Kiedyś prawie udało mu się rozbić mur, jaki wokół siebie wzniosła. Już prawie uwierzył, że odwzajemniła jego miłość. Ale potem stracili dziecko i ona znów się wycofała, odcinając się od niego akurat wtedy, gdy powinni być razem, by dzielić się bólem i wzajemnie wspierać. Odsunęła się od niego tak całkowicie, że ich małżeństwo przestało istnieć.

Ale dziś, gdy wiadomość o grupie krwi Chloe spadła na niego jak bomba, zwrócił się do Esther. Ona nie wzięła sobie do serca złych słów, które początkowo mu się wymknęły. Jak zwykle przytuliła go i pocieszyła, pomogła mu rozwiązać problem i przypomniała o głębokiej miłości, jaką czuł do Chloe. Miłości, która nie miała nic wspólnego z biologicznym pokrewieństwem.

A teraz i Esther zaczęła przywiązywać się do Chloe. Zauważył to, gdy niespodziewanie wszedł do pokoju córki i znalazł ją w jej ramionach. Dostrzegł nawet ślady wilgoci na policzkach Esther i zastanawiał się, czy w końcu zapłakała za tamtym dzieckiem.

Pomimo zmęczenia poczuł, jak nagły przypływ podniecenia ogarnia jego ciało. Pozwolił sobie na kilka minut marzeń o tym, co mogłoby się wydarzyć.

Czy jest nadzieja? Musi być. On sprawi, by marzenia stały się rzeczywistością! Kiedy wreszcie nie będzie taki zmęczony, kiedy wreszcie epidemia zostanie opanowana, a mama i Chloe poczują się lepiej i kiedy wreszcie rozwiąże kwestię rozwodu. Wtedy wystarczy mały świąteczny cud, a być może los się odmieni...

Trzy lata temu Bill powiedział Esther, że zbyt trudno ją kochać. Że to go zabija, że nie może cały czas próbować kochać kogoś, kto ukrywa wszystkie emocje za murem nie do przebiccia. Odeszła więc, mówiąc sobie, że to dla obopólnego dobra. Bo siebie nie mogła zmienić. Ta utracona miłość rzuciła cień na całe jej życie. O co chodziło Billowi przed chwilą? Co miał na myśli?

Pewnie nic. Przepraszał, a ludzie często wtedy mówią za dużo, chcąc zrekompensować krzywdę, którą wyrządzili.

Esther ułożyła papiery na biurku i udała się na oddział, po drodze przypominając pielęgniarce, że w razie potrzeby znajdą ją w mieszkaniu Billa.

Weszła jeszcze do sali pana Armstronga, a potem do Gwyneth. Gwyneth była przytomna. Kiwnęła ręką na Esther, by podeszła bliżej. Choć ruch był słaby, nadal wyglądał władczo.

- Jak się czujesz, Gwyneth? - Esther ujęła jej dłoń. Usta kobiety poruszyły się, ale dźwięk, który z nich wyszedł, był ledwie słyszalny. Esther musiała się nachylić.

- Chloe - szepnęła Gwyneth.

- Ma się dobrze. Bill jest przy niej, potem przyjdzie do ciebie.

Gwyneth wydała z siebie odgłos przypominający prychnięcie.

- Chcesz coś jeszcze powiedzieć? Kiwnięcie głową.

- Coś o Chloe? Następne kiwnięcie głową.

- Bill ją kocha - wyszeptała Gwyneth z trudem.

Wiem, pomyślała Esther. Przecież to normalne, po co ten trud, by mi to powiedzieć? A potem uderzyła ją okropna myśl. Czyżby Gwyneth wiedziała, że Chloe nie jest dzieckiem Billa? Czy, aby doprowadzić do małżeństwa, uknuła wraz z Marcie spisek?

- Nie bój się - szepnęła Esther. - Bill nie straci drugiego dziecka przeze mnie.

Dotknęła policzka Gwyneth, zastanawiając się, jak by ułożyło się jej życie, gdyby teściowa nie pragnęła za wszelką cenę innej synowej. Czy byłaby dla niej miłsza? Czy pomogłaby jej wtedy, gdy tej pomocy potrzebowała najbardziej - po poronieniu?

Zbyt wiele pytań tkwi w przeszłości. Nawet jeśli teraz poznaje niektóre odpowiedzi, nic nie może zmienić faktów.

O świcie Esther obudziła się w mieszkaniu Billa świeża i wypoczęta. Wykąpała się, zjadła miseczkę płatków na śniadanie i poczuła się gotowa, by stawić czoła przeciwnościom kolejnego dnia. Z pokoju Chloe wzięła kilka zabawek. Nad łóżeczkiem wisiał sznurek kolorowych koralików. Odpięła go i zabrała ze sobą, pomyślawszy, że dziewczynka będzie się lepiej czuła w szpitalu, mając wokół znajome przedmioty.

Gdy dotarła na oddział, okazało się, że Bill śpi, a Chloe ma się na tyle dobrze, że od chwili, gdy się przebudziła, żąda nieustannej uwagi.

Esther wręczyła Janet torbę z zabawkami.

- Potrzeba jej rozrywki - powiedziała pielęgniarka. Esther zajrzała do pana Armstronga. Jego stan się nie zmienił. Potem do Gwyneth, która spała albo była w półśpiączce. Niedobrze, ale podobnie jak w przypadku ku pana Armstronga, Esther wiedziała, że zrobiła dla nich wszystko, co mogła.

W pokoju Chloe zastała dziewczynkę na kolanach pielęgniarki. Do rączki mała miała przypiętą kroplówkę. Sposób, w jaki ją

przytwierdzono, zdradzał, że dziecko usiłowało wcześniej ją zerwać.

- Bill założył jej to, zanim się położył - wyjaśniła pielęgniarka i spojrzała na Esther z przepaszającą miną. - Mój dyżur już się skończył, ale kiedy ją kładę, zaczyna płakać.

- To znaczy, że czuje się lepiej. Ja ją wezmę. Postanowiła, że zabierze dziecko na obchód. Nie

było to łatwe, jako że Chloe miała podłączoną kroplówkę, ale ponieważ stojak był na kółkach, dało się go pchać przed sobą. Trzech pacjentów, którzy nadal zawzięcie grali w karty, można było już wypisać. Esther zadzwoniła do dyrektora szpitala i poprosiła go, by rozważył, czy powinni oni zostać ewakuowani wraz z resztą mieszkańców Robinson, czy też lepiej będzie, jeśli zostaną w mieście. Trzeba było tylko znaleźć dla nich inne mieszkania, bo całe Robinson miało być dokładnie zdezynfekowane.

Następnie zabrała dziecko z powrotem do pokoju. Chloe nie chciała spać, więc Esther z nią została. Nad łóżeczkiem powiesiła koraliki, nachyliła się nad dziewczynką i zaśpiewała jej kołysankę.

Bill już miał wejść do pokoju Chloe, gdy usłyszał śpiew i zamarł w korytarzu, patrząc na Esther pochyloną nad jego dzieckiem z twarzą złagodniałą w wyrazie miłości. Nikły płomyk nadziei znów w nim zamigotał.

Musiała wyczuć jego obecność, bo odwróciła się i położyła palec na wargach.

- Teraz twoja kolej, Bill - szepnęła. - Idź do domu, wykąp się, przebierz. Twoja matka i córka nie chciałyby cię widzieć w takim stanie.

Miała rację, ale myślami był tak daleko od swego wyglądu, że minęła chwila, nim ją zrozumiał. Zdał sobie sprawę, że choć nadzieja może świtać w nim, to nie ma pojęcia, co dzieje się w głowie Esther. Ani w jej życiu.

Jest piękną, pociągającą kobietą. Czy jakiś inny mężczyzna dostrzegł jej zalety i zakochał się w niej tak jak on? Chciał zapytać, może coś wspomnieć o nadziei, ale już machała na niego ręką, wypychała go za drzwi, nakazywała mu iść. Nie, taka rozmowa teraz się nie uda.

Esther i inny mężczyzna? Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Po raz pierwszy przyszło mu to do głowy po tym, co Esther powiedziała w samochodzie, w ten wieczór, kiedy się kochali. Ale co to dokładnie było?

Nie pamiętał i nie chciał pamiętać. Od tej pory dozwolone są tylko myśli pozytywne. Musi ją odzyskać. Esther należy do niego. Są sobie przeznaczeni. I pewnego dnia jej to udowodni. Choć udowodnić coś Esther zawsze było bardzo trudno...

Rozdział dziewiąty

Trzy dni później życie w szpitalu wróciło do normy. Na intensywnej terapii pozostali tylko najciężej chorzy: pan Armstrong i Gwyneth. Chloe miała być wypisana lada dzień. Cała reszta pacjentów wyzdrowiała.

Esther i Bill wypracowali sobie stały rozkład dnia. Esther przygotowywała raport epidemiologiczny, a Bill załatwiał zaległe sprawy i doradzał ekipie zwalczającej komary. Noce spędzał w szpitalu, by być blisko matki i córki.

Esther była zadowolona z takiego podziału. Widywała się z Billem wyłącznie na oddziale, zawsze w towarzystwie innych osób. Dzięki temu oboje musieli zwracać się do siebie chłodno i mówić o sprawach zawodowych.

Czy gdyby byli sami, mówiliby o czymś innym? Nie miała pojęcia. Nie wiedziała, co czuje Bill. Wiedziała tylko, że ona sama czuje się znowu tak jak zwykle, gdy Bill jest w pobliżu.

Jakby cud miłości został stworzony właśnie dla niej. Jakby jej ciało opanowała jakaś siła, która pcha ją w ramiona tego mężczyzny. Jakby w jej wnętrzu świeciło słońce, ogrzewając i rozjaśniając każdy zakątek. Oczywiście miała świadomość, że to tylko iluzja. Podobnie jak za pierwszym razem, gdy się w Billu zakochała. Życie to nie cuda, tajemnicze siły i słońce świecące w człowieku, tylko zwykłe sprawy - spanie, jedzenie, praca, zmartwienia.

Zmartwień akurat miała dużo. Zastanawiała się na przykład, jak Bill zniesie to trzęsienie ziemi, jakie zniecka wydarzyło się w jego życiu. Martwiła się o zdrowie Gwyneth, o Chloe i jej przyszłość. Chloe była problemem największym. Wśliznęła się w serce Esther, w ciemne zakamarki jej umysłu, zajęła miejsce, które od lat należało do innego dziecka.

Bardzo niechętnie się do tego przyznawała, nawet przed samą sobą. Ale pozwalała Chloe bawić się u swoich stóp, wspinać się na swoje krzesło, kierować do siebie pierwsze słowa. Tylko dlatego, tłumaczyła sobie, że w ten sposób oszczędzała czas pielęgniarek.

Chloe siedziała właśnie na kolanach Esther, „pisząc” po kartce fioletowym flamastrem, gdy do gabinetu niespodziewanie wszedł Bill. Esther zakłęła w myślach. Starła się unikać zabaw z jego córką, kiedy był w pobliżu. Nie umiałyby wyjaśnić dlaczego. Instynkt podpowiadał jej, że powinna się wtedy trzymać z daleka od dziecka, przychodziło jej to jednak z coraz większym trudem.

Jak można trzymać się z daleka od dziecka, które rozpromienia się w uśmiechu i wyciąga do ciebie rączki, kiedy tylko cię widzi?

Esther podejrzewała, że jej uczucia mają coś wspólnego z obecną sytuacją Chloe, z tym, że grozi jej odrzucenie. Jej samej, Esther, przytrafiło się to wiele razy. Nie wiedziała, czy dlatego pokochała Chloe, ale miała pewność, że Bill nie powinien nic o tym wiedzieć.

- Ach, więc tak pracujesz? - roześmiał się Bill.

- Dada! - Chloe wyciągnęła ku niemu rączki. Sięgnął po nią odruchowo i kiedy ją przytulił, Esther zobaczyła miłość w jego oczach.

- Wypisujemy ją?

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Oboje wiedzieli, że szpital nie jest właściwym miejscem dla dziecka.

- Teraz mamy dengę pod kontrolą i nie jesteśmy tacy zabiegani. Poprosiłem dyrektora o urlop, żeby móc się zająć Chloe. Podczas wizyt u mamy zostawię ją w żłobku, a jak mama poczuje się lepiej, zacznę zabierać Chloe do niej.

Esther skinęła głową, czując ukłucie rozczarowania. Bill nie poprosił jej, by pomogła mu zajmować się Chloe. Uznał widocznie, że skończywszy pracę, Esther wyjedzie. Cóż innego miał pomyśleć? Czy jeden wybuch namiętności może cokolwiek zmienić?

- Ja wracam do Brisbane - powiedziała. Jej serce pękło na pół i krwawiło.

- Oczywiście, że nie. - Bill zmarszczył brwi. - Zostajesz. Nikt nie wyjeżdża z miasta przed upływem miesiąca. Takie były nasze wspólne ustalenia.

- Miesiąc? Jeszcze trzy tygodnie tutaj? Musiałabym zostać na święta i Nowy Rok.

- Masz jakieś plany? - zapytał bez cienia współczucia.

- Owszem. - Kłamstwo, ale Bill o tym nie wie. - Porozmawiam z dyrektorem szpitala. Nie może zrobić dla mnie wyjątku? Na pewno da się to załatwić.

- On zapyta o zdanie mnie. - W głosie Billa Esther wychwytiła cień triumfu. - A ja zauważę, że dzieliłaś mieszkanie z dwiema osobami, które później zachorowały, a więc bardzo możliwe, że jesteś nosicielem wirusa.

- Nikt inny w całym bloku się nie zaraził!

- Zasady dotyczą wszystkich - oznajmił Bill i wyszedł.

- Aleśmy jej dogadali, co, kochanie? - szepnął Bill do córki, gdy wrócili do pokoju dziewczynki.

Zaskoczyło go trochę, jaki potrafi być nieugięty. Ale gdy Esther wspomniała o wyjeździe, wiedział tylko, że musi ją zatrzymać. Jego uczucia do tej kobiety nie uległy zmianie. Próbował udawać, że jej nie kocha, wspomniawszy jej kiedyś, że zbyt trudno ją kochać, ale jedno i drugie nie było prawdą. Nieważne, jak bardzo się od niego odsuwała - była to wciąż Esther. Esther, którą kochał.

Otóż to, nareszcie to powiedział.

Choć nie na głos. Nie do niej.

Zrobimy to później, co, Chloe? Oboje powiemy jej, że ją kochamy. Za tydzień albo dwa, kiedy wszystko się uspokoi, a ona się rozluźni. Kocha cię, wiem o tym, i jestem prawie pewien, że i do mnie coś czuje. A więc jest nadzieja, moja Chloe. Nadzieja dla nas dwojga.

- Jak skończysz raport, może weźmiesz parę dni wolnego? - zaproponował Esther, gdy znów ją zobaczył. - Ledwie trzymasz się na nogach. Powinnaś odpocząć.

- I co bym robiła? - zapytała kpiąco. - Jamestown nie jest ostatnio szczególnie atrakcyjne turystycznie.

- Mogłabyś poleżeć przy basenie, poczytać książkę. Pójść na plażę. Popływać, poopalać się. Łowić ryby?

Uśmiechnął się niepewnie, bo uparty grymas jej ust wskazywał na to, że te sugestie nie trafiają jej do przekonania.

- Mogłabym popilnować Chloe - zaproponowała. - Byłabym cały czas w pobliżu. Przy ograniczonym personelu chyba nie jest ci na rękę brać teraz wolne.

Moglibyśmy razem popilnować Chloe... Bill już miał to zdanie na końcu języka, ale w ostatniej odgadł, że Esther usiłuje uniknąć jego towarzystwa i robi wszystko, by nie musieli razem spędzać czasu.

Postanowił myśleć pozytywnie i zinterpretować to jako dobry znak. Skoro go unika, to znaczy, że nie jest jej obojętny. Poza tym, gdyby Esther wzięła wolne, musiałaby spędzać popołudnia w domu. Wówczas i on wracałby z pracy. Codziennie więc mieliby dla siebie cały wieczór, a jeśli uda mu się dobrze to rozegrać - także i noc.

- Tak? Na pewno? Bardzo byś mi pomogła. - Czy to nie wypadło zbyt sztucznie? Miał nadzieję, że jednak nie, bo Esther sztuczność wyczuwała jak nikt. -Byłbym ci wdzięczny.

Przez moment patrzyła na niego podejrzliwie, ale potem skinęła głową.

- W takim razie pójde spakować notatki. Mogę przecież nad nimi pracować w domu. Jeździłam twoim samochodem, ale u Gwyneth jest fotelik dla dziecka. Zamienimy się autami?

Zamienić się? Co za zdumiewająca cecha kobiet. Żeby je do czegoś namówić, człowiek musi opracować całą strategię. Ale kiedy już dadzą się przekonać, nagle zaczynają wyprzedzać wydarzenia, myśleć o wszystkich praktycznych drobiazgach, które jemu nie przychodzą w ogóle do głowy.

- Zawiozę Chloe do domu - zaproponował. - Wygospodaruję na to chwilę.

Esther wróciła do biura, przeklinając pospiesznie złożoną obietnicę. Chociaż może jeszcze istnieje jakieś wyjście z sytuacji? Postanowiła przejść się do administracji i zapytać, czy nie mają

dla niej innego mieszkania. Wówczas wieczorem, kiedy Bill wróci do domu, ona będzie mogła udać się do siebie.

- Niestety, nie ma mieszkań. Zakwaterowaliśmy w nich ludzi, którzy odbudowują miasto. Robotników, elektryków, hydraulików, malarzy. - Z jednej strony Esther ucieszyło, że Jamestown tak szybko wraca do normalności. Z drugiej, perspektywa wspólnych wieczorów z byłym mężem budziła w niej grozę. - Nie chce pani mieszkać u Billa? - zapytała administratorka ze zdumieniem.

- Czuję się trochę jak intruz - wyjaśniła Esther. Nie może przecież powiedzieć tej kobiecie, że bliskość ordynatora szpitala doprowadza ją do szaleństwa.

I rzeczywiście, sprawy potoczyły się dokładnie tak, jak się obawiała. Już pierwszego wieczoru, kiedy położyła Chloe do łóżeczka i śpiewała jej kołysankę, Bill wrócił ze szpitala. Wszedł do pokoju i przyglądał się córeczce, a gdy zasnęła, objął Esther w pasie i wyprowadził z pokoju.

Gdy drzwi się zamknęły, tak naturalnie, jakby trzy lata rozłąki nigdy nie istniały, Bill i Esther odwrócili się do siebie, objęli i wymienili spojrzenia, które mówiły, że to, co się miało zaraz zdarzyć, zdarzyć się musiało.

A potem się pocałowali.

- Nie, to się nie powtórzy. - Esther oparła ręce na piersi Billa, odpychając go.

- Dlaczego? - Jego niebieskie oczy wpiły się w jej twarz w poszukiwaniu odpowiedzi. - Jeśli to Marcie cię tak martwi, to wiedz, że już nie jestem żonaty. Podpisałem dokumenty rozwodowe pół roku temu, tylko mój prawnik ma kłopoty z odszukaniem jej.

Ale moja matka bez trudności potrafi ją odnaleźć, dodał w myślach, przypominając sobie rozmowę sprzed kilku dni.

- Nie chodzi o to, czy jesteś żonaty, czy nie - odparła. - Ja nie chcę się znowu wiązać. Nigdy nie umiałam być z kimś. To się skończy podobnie jak za pierwszym razem. Próbowaliśmy już i nie wyszło. Sam powiedziałeś, że zbyt trudno mnie kochać.

Dotknęła jego policzka.

- Boję się kochać - dodała szeptem, a Bill wiedział, że to ostatnie zdanie jest najszczerzą prawdą. Dla Esther miłość zawsze wiązała się ze stratą i bólem.

Jak mają przekonać, żeby dała sobie jeszcze jedną szansę? Jak dostać się do tego czułego, wrażliwego wnętrza, które - wiedział o tym - istnieje pod tą szczelną skorupą?

Jeszcze nie znał rozwiązania, ale gdy przytulił ją do siebie, uznał, że jakiś sposób znaleźć musi.

Nie jesteśmy rodziną, upomniała się Esther następnego ranka, stając w drzwiach mieszkania z Chloe na rękę i machając Billowi na pożegnanie.

Życie ciągle zastawia jakieś pułapki. Wydaje się, że wszystko jest poukładane i marzenia już, już się spełniają, a potem nagle bęc! - ziemia usuwa się spod nóg.

- Moja mała Chloe - szepnęła do dziecka. - Gdybyś wiedziała, jak bardzo jestem zagubiona.

Nastał kolejny poranek. Znow stanęła w progu, by pożegnać Biła. Słońce świeciło, a dziecko śmiało się w jej ramionach. Moglibyśmy być rodziną, uwodził ją wewnętrzny głos. Moglibyśmy spróbować jeszcze raz.

Pokonać przeszłość.
Chloe byłaby naszą radością.

Trzeciego ranka przestała udawać. Życie z Billem było torturą. Na nim wstrzemięźliwość nie robiła wrażenia. Nie cierpiał po nocach, przewracając się z boku na bok i wyobrażając sobie ją w łóżku zaledwie kilka metrów dalej.

Dla niej noce były tak fatalne, że rano przyglądała mu się podejrzliwie, szukając śladów nieprzespanych godzin. Ale Bill wstawał świeży, wypoczęty, brał prysznic, bawił się z córką, a wychodząc, wręczał ją Esther, jakby była tylko opiekunką do dziecka.

Od czasu tamtego pocałunku przed sypialnią Chloe, gdy Esther powiedziała „nie”, Bill zmienił się we współlokatora wprost idealnego. Co wieczór wracał do domu, upierał się, by gotować na zmianę, opowiadał o pracy, o epidemii, o wszystkim tylko nie o miłości, seksie czy związkach. Emanował spokojem, podczas kiedy jej hormony wariowały.

Bill jechał do pracy, wiedząc, że powinien myśleć o chorej matce, ale jego myśli nieustannie krążyły wokół kobiety, która spowodowała zamęt w jego życiu. Zamierzał zatrzymać Esther w Jamestown na tyle długo, by przekonać ją, że ją kocha. To była ta łatwiejsza część planu. Trudniej było namówić ją, by jeszcze raz podjęła ryzyko i pozwoliła sobie na miłość.

Na razie jednak nie udało mu się zrealizować żadnego z wyznaczonych zadań. Rozpraszała go jej ciągła obecność w domu.

Pragnął jej tak bardzo, że w każdej części ciała odczuwał fizyczny ból.

Patrz, ale nie dotykaj! Ta zasada sprawdza się w muzeum. Gdy chodzi o ukochaną kobietę, jest nie do zniesienia.

Co teraz? Przede wszystkim należy się upewnić, że jest już rozwiedziony. Postanowił napisać maila do prawnika i naciskać na sfinalizowanie całej sprawy.

Nagły przypływ niepokoju przypomniał mu, dlaczego do tej pory odkładał to na później. W głębi duszy obawiał się, że Marcie mogłaby odebrać mu dziecko, a teraz, gdy dowiedział się, że nie jest jego biologicznym ojcem, jego strach jeszcze się pogłębił.

Gdyby miał wybierać? Esther albo Chloe?

Zatrzymał samochód na parkingu i westchnął. Zniszczenia, jakie spowodował cyklon, są niczym w porównaniu z tym, co stało się w jego życiu.

Trzeba to uporządkować! Najpierw odwiedzić matkę, potem napisać do prawnika, potem praca. Ma porozmawiać z kimś ze szpitala w Cairns o wcześniejszych przypadkach dengi i zapytać, czy przechowują próbki wirusa albo zamrożone kultury.

Myśląc wciąż o pracy, wszedł do pokoju matki, która siedziała w łóżku i kłóciła się z pielęgniarką, żądając odłączenia od monitorów.

- William! W samą porę. Powiedz tej dziewczynie, żeby odpięła te kable, dobrze?

Bill nie wierzył własnym oczom. Co za ton! Zaledwie kilka dni po agonii!

- Ja się tym zajmę - rzekł do pielęgniarki. - Mamo, naprawdę lepiej się czujesz?

- Oczywiście - odparła, choć głos miała wciąż słaby, a dłonie drżące. - Możesz mnie już wypisać.

- Jeszcze nie, mamó. To bardzo złośliwy wirus. Możliwy jest nawrót. Poczekajmy z dzień albo dwa.

- A kto jest z Chloe?

Bill zawahał się. Czy prawda uspokoi matkę, czy może niezdrowo ją zirytuje? Zanim się zdecydował, Gwyneth odgadła sama:

- Ta kobieta, zgadza się?

- Ta kobieta ma na imię Esther. Masz rację, ona. Nie poradziłbym sobie bez niej, jeszcze zanim wzięła na siebie obowiązki opiekunki, więc proszę, ani jednego złego słowa na jej temat, mamó.

Gwyneth zacisnęła usta. Bill był nawet ciekaw, jakież to komentarz zatrzymała dla siebie. Ale przynajmniej to coś pozostało niewypowiedziane i kłótnia z chorą kobietą zażegnana.

W biurze Bill odsłuchał wiadomości z automatycznej sekretarki. Tylko jedna wydała mu się pilna. Pochodziła od Geoffa Robertsona, szefa Esther z Brisbane. Geoff prosił, by Bill zadzwonił do niego jak najszybciej.

- Chodzi o to, że bez próbek pobranych od chorych z Cieśniny Torresa nie będziemy mieli stuprocentowej pewności, że to właśnie było źródło naszej epidemii - tłumaczył mu Geoff. - Mógłbym wysłać kogoś od siebie, żeby pobrał próbki i wypytał tubylców o dokładny przebieg choroby, ale byłoby lepiej, żebyście to wy, ty i Esther, bezpośrednio z nimi porozmawiali. Wy najwięcej wiecie o dendze z Jamestown.

Bill przyznał mu słuszność.

- Załatwię wam mały samolot, którym wylecicie z Jamestown jutro o świcie - ciągnął Geoff. - Lot trwa trochę ponad godzinę. Porozmawiacie z tubylcami, weźmiecie kilka próbek krwi i jak się z tym uwiniecie, to zdążycie do domu na kolację.

Bill chciał zaprotestować - miał na głowie szpital i chore dziecko - ale wiedział, że Geoff ma rację. Ktoś musi tam polecieć. Jednakże lot wraz z Esther w małym samolocie wydawał mu się jeszcze trudniejszym przeżyciem niż mieszkanie razem z nią.

- Porozmawiam z dyrektorem mojego szpitala
- powiedział. - Nawet jeśli ja nie polecę, Esther na pewno to zrobi.

Geoff nalegał jednak, by udali się tam razem.

- Ona jest dobra, ale ty masz więcej doświadczenia
- przekonywał.

Bill w końcu się zgodził i, w miarę jak załatwiał formalności konieczne do odbycia podróży, czuł rosnące podniecenie. Jak gdyby ten dzień, który mieli spędzić razem, mógł stać się dniem szczególnym.

Rozdział dziesiąty

Wystartowali, gdy wschodzące słońce przeświecało przez chmury na bordowo, różowo i złoto. Gdy wzbili się w powietrze i ujrzeli wielką czerwonożółtą kulę unoszącą się nad oceanem, Esther aż westchnęła z zachwytu.

Siedzieli w fotelach z tyłu za pilotem. Miejsce z przodu było zajęte przez przenośną lodówkę i sprzęt do pobierania próbek.

- Fajnie jest wyjechać, prawda?

Esther odwróciła się, by spojrzeć na Billa.

- Mówisz to tak, jakbyśmy lecieli na wakacje.

- A nie są to wakacje? - uśmiechnął się. - Wiem, że mamy tam coś do zrobienia, ale wierz mi, niczego bardziej zbliżonego do wakacji nie zaznałem od wielu tygodni.

Widziała zmarszczki wokół jego oczu, siwe pasemka w ciemnych włosach, i przypływ współczucia osłabił jej samokontrolę. Wyczuł to albo zobaczył w jej oczach, bo uśmiechnął się jeszcze raz i zapytał:

- Nie możemy chociaż poudawać?

- Udawać czego, Bill? - Jej serce waliło jak młot na myśl o możliwych odpowiedziach.

- Że to wakacje. - Uśmiech, jaki towarzyszył jego słowom, dawał pole do wielu różnych interpretacji.

Można na przykład udawać, że są nadal razem.

Albo że są parą kochanków, która leci na tropikalną wyspę, by kochać się na gorącym piasku.

Esther nie odpowiedziała, ale wyczuła subtelną zmianę nastroju. Rozmawiali o pracy, lecz coś było pomiędzy nimi, mieniło się, drżało - coś niezdefiniowanego, ale podniecającego. Lecieli nad turkusowym morzem, gdzieniegdzie upstrzonymi zielonymi wysepkami, tak małymi, że z góry wyglądały jak pływające drzewa.

- Będziemy lądować - odezwał się pilot, wskazując na porośnięty lasem szczyt, który zdawał się wyrastać prosto z wody.

- Lądować? Gdzie? - zapytała Esther, a pilot wykonał taki skręt, że nagle ujrziała biały pas wydarty dżungli i przygotowany do lądowania.

Pielegniarka z miejscowej przychodni czekała na nich przy wiacie służącej za terminal. Spokojnie i zdumiewająco sprawnie załadowała bagaże i ich dwoje do starego samochodu, poinformowała pilota, że wkrótce pojawi się ktoś, kto uzupełni paliwo w baku, a potem powiozła ich przez dżunglę w kierunku wioski.

- Zebrałam wszystkich, którzy byli chorzy, a także ich krewnych. Są też osoby, które mogły mieć dengę, choć nie zdawały sobie z tego sprawy - oznajmiła. - Po ostatniej epidemii przeprowadzono dezynfekcję i nie było więcej zachorowań. Nie mam pojęcia, czy to, co mieliście w Jamestown, przyszło od nas.

Wynurzyli się z ciemnego lasu, i przed ich oczami roztoczył się cudowny widok. Wysokie palmy kokosowe kołysały się przy brzegu, na którym biały piasek graniczył z zielononiebieskim morzem o takim odcieniu, że Esther odebrało mowę.

- Ładnie tu, co? - zapytała pielęgniarka głosem, w którym brzmiała duma i miłość do ojczystej wyspy.

- Owszem, bardzo - przyznał Bill, a kobieta się rozpromieniła.

Zatrzymali się przy małym kościółku z białego kamienia. Był on, jak im wyjaśniono, najlepszym miejscem do zebrania większej liczby ludzi.

Bill wytłumaczył zebrany, jaki jest cel ich wizyty oraz to, czego od nich oczekuje. Następnie podzielił wszystkich na grupy, tak by Esther mogła wypełniać ankiety, a on sam pobierać próbki krwi. Pomagała mu pielęgniarka.

- Czas zrobić przerwę na lunch - oświadczyła kilka godzin później.

W samą porę - Esther właśnie zaczynała żałować, że nie przygotowała na drogę kanapek.

Zabrano ich na szkolne podwórko, gdzie pod drzewami czekał na nich stół, a na nim owoce morza ułożone na błyszczących bananowych liściach.

- Ach, jak to pięknie wygląda! - zachwyciła się Esther, szczerze podziwiając artystyczny zapał kogoś, kto ten stół zastawiał.

- Smakuje jeszcze lepiej - zapewniono ją. Wszyscy mieszkańcy wioski dołączyli do uczty.

Rozmawiali teraz swobodniej, śmiali się i żartowali, zupełnie nie krępując się obecnością obcych. Esther podziwiała ich prostotę i naturalność. Od czasu do czasu nawet w ich raju na ziemi zdarzały się tragedie. W ubiegłym roku na dengę zachorowało tu kilka osób, jedno dziecko zmarło. Ale oni akceptowali śmierć jako naturalną część cyklu życia i umieli zachować pogodę ducha.

- Przejdiesz się ze mną po plaży? - Bill niespodziewanie pojawił się za jej plecami.

- Nie skończyliśmy z próbkami.

- Teraz jest sješta. Nawet dzieci będą odpoczywać. Nic się nie stanie, jeśli i my zrobimy sobie godzinę przerwy.

Esther spojrzała na błyszczącą biel i migoczący turkus.

- Mogłabym trochę pobrodzić w wodzie. Ma niewiarygodny kolor.

- Idziemy? - Bill wyciągnął dłoń.

I nagle napięcie, które było wcześniej między nimi, powróciło ze zwielokrotnioną siłą, tak wyraźne, że niemal widoczne.

Podąa Billowi rękę i ruszyła przed siebie, trochę przerażona, trochę szczęśliwa.

Przy brzegu zrzucili buty. Esther dotknęła stopą piasku i spłynęło na nią nagle ukojenie. Kiedy Bill znów wyciągnął rękę, bez wahania podała mu swoją i weszła do ciepłej wody. Szli długo wzdłuż plaży, nie mówiąc ani słowa, aż do momentu, gdy wioska zniknęła im z oczu.

Wówczas Bill przystanął.

- Kocham cię, Esther - rzekł spokojnym głosem, takim samym, jakim posługiwał się w kontaktach z przerażonymi pacjentami i płaczącymi dziećmi. - Kochałem cię i zawsze będę kochał. Wiem, że tobie trudno jest pokochać mnie od nowa, ale może zechcesz choć rozważyć taką możliwość? Zastanów się, czy jest jakaś nadzieja, czy jest szansa, żebyśmy razem z Chloe stworzyli rodzinę.

Ta niespodziewana deklaracja tak ją zdumiała, że początkowo nie umiała znaleźć odpowiedzi, ale kiedy Bill ją pocałował delikatnym muśnięciem warg, podobnym do dotyku skrzydła motyla,

poczula, jakby to napięcie, które było między nimi, zamieniło się w czystą energię. Odwzajemniła pocałunek, wkładając w niego frustrację nagromadzoną podczas bezsennych nocy i długich lat bez miłości.

- Nie zmieniałam się, Bill - powiedziała cicho, gdy się rozłączyli. - Dalej trudno mnie kochać.

- Ale ja się zmieniłem - odparł, całując jej prawą dłoń. - Poradzę sobie z kobietą, którą trudno kochać. Pod warunkiem, że będziesz nią ty. - Pocałował ją w lewą dłoń, a ona miała ochotę zacisnąć dłonie w pięści i zatrzymać te pocałunki na zawsze.

Na wszelki wypadek...

- Czy to samo czujesz wobec Marcie? - zapytała, bo uważała, że jego drugie małżeństwo to kwestia, którą należy poruszyć.

Wzjął ją za rękę i pociągnął dalej.

- Musimy się cofnąć w czasie, Esther. To się zaczęło, zanim ty i ja się poznaliśmy. Na pewno sporo wiesz o Marcie. Mama pewnie nie odpuściła żadnej okazji, żeby ci o niej poopowiadać. Cóż, znaliśmy się od zawsze. Kiedy byliśmy dużo młodszy, jeszcze w szkole i na studiach, czasem umawialiśmy się ze sobą. Znajdowałem się zawsze pod ręką, kiedy w jej życiu nikogo lepszego nie było. Ona z kolei była moją pierwszą kobietą, a ponieważ każdy wieczór z nią kończył się w łóżku, nie odrzucałem zaproszeń.

Esther skinęła głową.

- Po tym, jak się rozstałem z tobą - ciągnął Bill - czułem się pusty i zagubiony. Praca, dom, praca, dom, głównie zresztą praca, żeby zabić czas. I nagle pojawiła się Marcie. Wróciła z Ameryki Południowej czy innego egzotycznego miejsca. Zadzwoiła, poprosiła, żebym gdzieś z nią poszedł, a ja, bardziej z przyzwycza-

jenia niż z jakiegokolwiek innego powodu, zgodziłem się. Była w mieście przez parę tygodni, umówiliśmy się kilkakrotnie, z tego ze dwa razy skończyliśmy w łóżku. Wówczas piła już naprawdę dużo. - Wziął głęboki oddech. - Sześć tygodni później wróciła do mnie. W ciąży. Teraz wiem, że nie byłem ojcem, ale wówczas przyjąłem, że tak. Ona mi to zasugerowała. Ożeniłem się. Wydawało mi się, że tak będzie dobrze dla niej i dla dziecka. A poza tym w ten sposób spełniłem wielkie marzenie mojej matki. - Kolejna pauza, kolejny wdech. - I szczerze mówiąc, wydawało mi się to dobrym rozwiązaniem także dla mnie. Moje marzenia umarły i byłem cholernie samotny, Esther.

Pochyliła się do przodu i pocałowała go w usta, przepraszając w ten sposób za wszystko, co wycierpiał.

- Bycie mężem Marcie nie było łatwe. Chodziła własnymi ścieżkami, nie znosiła mojego „zrządzenia” - tak nazywała prośby, żeby mniej piła. Bałem się, że dziecko urodzi się z syndromem zatrucia alkoholowego. Wówczas zdałem sobie sprawę, że nienawidzę kobiety, którą poślubiłem. Marcie zresztą nie dała mi czasu na nienawiść. Urodziła Chloe i znikła.

Esther wbiła wzrok w kryształową wodę, z trudem wierząc własnym uszom.

- Więc po co było jej dziecko? Dlaczego po prostu nie usunęła ciąży?

- Nigdy się tego nie dowiedziałem. Teraz sędzę, że urodziła je, żeby dopiec jego ojcu. Na zasadzie: popatrz tylko, mam twoje dziecko, a tobie od niego wara, nigdy go nawet nie zobaczysz.

Wzruszył ramionami, jakby dalsze spekulacje nie mieściły mu się w głowie. Esther przysunęła się bliżej.

- I co teraz?

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Napisałem wczoraj do mojego adwokata. Od sześciu tygodni jestem wolnym człowiekiem.

Wyciągnął do niej ramiona, a ona je przyjęła z sercem przepelnionym miłością. Tym razem bez pocałunków. Tylko ciepło i całkowite bezpieczeństwo uścisku - mocnego, z całego serca. Jakby jedyną potrzebą ich obojga była fizyczna bliskość.

- Musimy wracać do pracy - mruknął w końcu Bill. Esther niechętnie wypuściła go z objęć, a potem ręka w rękę wrócili plażą do wioski.

To dopiero początek drogi, nie jej koniec, przypomniała sobie. Początek ich nowego związku. Na razie nic jeszcze nie jest przypiętowane. Trzeba rozważyć wiele spraw.

- Zostały mi cztery miesiące w Australii - powiedział Bill, gdy usiedli na skałkach, otrzepując stopy z piasku. - Nie musisz podejmować decyzji natychmiast.

- Czytasz w moich myślach? - uśmiechnęła się.

- Nie, ale pamiętam, że ostatnim razem poganiałem cię do ołtarza. Tym razem nie zrobię tego. To musi być na zawsze. Nie przeżyłbym ponownego rozstania. Chcę, żebyś została moją żoną, bo cię kocham i ponieważ chciałbym, aby Chloe miała matkę. Ktoś mógłby powiedzieć, że Chloe to premia, ale ja wiem, jak trudne i bolesne są te sprawy dla ciebie. Chcę, żebyś była pewna, że decyzja, którą podejmujesz, jest dla ciebie dobra. Dla ciebie. Nie dla mnie, Chloe czy kogokolwiek innego.

Po chwili dodał poważnym głosem, który rzadko u niego słyssała:

- Rozumiesz, co powiedziałem?

Nie mogła wykrztusić słowa, bo wzruszenie ścisnęło jej gardło.
Kiwnęła tylko głową w nadziei, że on też rozumie.

RS

Rozdział jedenasty

Gwyneth wróciła do domu następnego dnia. Była jeszcze słaba, choć nie chciała się do tego przyznawać. Esther starała się pomagać jej w jak najdyskretniejszy sposób, na przykład uciszając Chloe, kiedy starsza pani spała, albo przyrządzając dla niej niewielkie, ale smaczne posiłki.

Z dwiema rekonwalescentkami w domu Esther miała dużo pracy. Pomiedzy nią a Billem nic się nie działo, poza pocałunkami na pożegnanie, gdy wychodził do pracy, i na powitanie, gdy z niej wracał. Była teraz zbyt zmęczona, by leżeć bezsennie w nocy i myśleć o jego ciele, bliskim, ale nieosiągalnym. Tym razem to on przechodził tortury niespełnionych pragnień i wciąż szeptał jej do ucha, że powinni gdzieś razem wyjechać.

Sami. Już niedługo.

Mimo że Gwyneth nie doceniała wysiłków, jakie Esther wkładała w utrzymanie dobrych stosunków, coś się w starszej pani zmieniło. Stała się znacznie miłsza niż dawniej.

Esther uznała swoje stosunki z teściową za prawie normalne.

- To dobrze, bo jak tylko mama wy dobrzeje na tyle, by zająć się Chloe, my pojedziemy do pięciogwiazdkowego hotelu, gdzie nie będziesz robić nic, tylko kochać się ze mną. Nadrobimy stracony czas.

Zbliżała się Gwiazdka. Esther była rozdarta pomiędzy nadzieją, że to Boże Narodzenie okaże się inne od pozostałych, a swoim stałym strachem przed tym świętem. Któregoś dnia wspomniała Gwyneth, że powinni kupić choinkę.

- Przecież to pierwsze święta Chloe.

- Ja tam uważam, że z tymi świętami to jedna wielka przesada - odparła Gwyneth.

- Wiem - wyrwało się Esther. Błyskawicznie pożałowała tych słów, ale Gwyneth,

zamiast ją swoim zwyczajem zaatakować, sięgnęła po jej rękę.

- Ojciec Williama zostawił mnie w Boże Narodzenie - powiedziała, gładząc dłoń Esther. - Nie mówiłam tego synowi, a on był za mały, żeby to pamiętać. Dopóki się nie pojawiłaś, nie zdawałam sobie sprawy, że jednak wycisnęło to piętno na naszym życiu. Przestałam obchodzić święta. Twierdziłam, że to przereklamowany spisek marketingowców, którzy chcą namówić ludzi na wydawanie pieniędzy. Wpoiłam Williamowi, że obchodzić należy tylko urodziny.

Gwyneth umilkła. Esther była zaskoczona tym wyznaniem. Nagle rozwikłano przed nią kolejną zagadkę związaną z przeszłością. Nigdy wcześniej nie mogła zrozumieć, dlaczego Bill ma tak lekceważący stosunek do Bożego Narodzenia, podczas gdy ona tak bardzo starała się, by-było ono czymś niezwykłym.

- Marcie mnie rozumiała.

To było już całkowitym wstrząsem. Tak wielkim, że Esther wyrwała rękę z uścisku i wytrzeszczyła oczy na Gwyneth, zastanawiając się, czy się nie przesłyszała.

- Co Marcie ma wspólnego ze świętami?

- Nie znosiła ich. Kiedy była mała, rodzice przebierali ją za elfa i kazali wręczać prezenty pracownikom ojca. Ludzie szczypali ją w policzek i zachwycali się, jaka ona słodka. To trwało latami. Marcie znienawidziła ten rytuał.

Esther uśmiechnęła się mimo woli.

- Czyli Marcie jednak ma uczucia - pozwoliła sobie na złośliwy żart, ale Gwyneth na niego nie zareagowała.

- Zawsze jej współczułam. Z powodu życia, jakie wiodła. Była za bogata, rozpieszczona przez rodziców i rozpaczliwie spragniona miłości. Nie wiem, czy ona rozpoznała ten sam głód we mnie, czy też po prostu jesteśmy pokrewnymi duszami, ale mimo różnicy wieku zaprzyjaźniłyśmy się. Chyba dlatego, że tak bardzo było mi jej żal.

Gwyneth pochyliła się ku Esther.

- Nigdy jednak nie należy liczyć na ludzkie uczucia w Marcie. Jesteście z Williamem szczęśliwi, że znowu wam się ułożyło. Nie zaprzeczaj, nie jestem ślepa. Ale nie sądz, że Marcie też by się z tego ucieszyła. Sama może nie chceć Williama, ale nie pozwoli nikomu innemu go mieć.

- Rozwiedli się - zaprotestowała Esther. - Co może mu zrobić?

- Zabrać Chloe.

Dwa proste słowa, ostre jak nóż. Czyżby sprawa opieki nad dzieckiem nie została załatwiona?

- Nie zrobiłaby tego - wykrztusiła. - Nie mogłaby. Ona nie chce dziecka.

Gwyneth wzruszyła ramionami. Była zmęczona. Esther nie chciała zmuszać chorej kobiety do zbyt długiej i trudnej rozmowy.

Z drugiej strony jednak bardzo pragnęła usłyszeć odpowiedzi.
Choć czy one istnieją?

Nasuwały jej się tylko pytania. Czy Bill będzie musiał któregoś dnia wybierać pomiędzy nią a dzieckiem? Czy ona może pozwolić, by znalazł się w tej sytuacji?

Tego wieczoru, gdy wrócił z pracy, nie przywitała go jak zwykle pocałunkiem - udawała, że jest zajęta w kuchni. Zauważył, że go unika, i nie miał pojęcia, co jest tego przyczyną. Czyżby dał jej zbyt wiele czasu do namysłu?

Nalał jej kieliszek białego wina, które lubiła, pogładził po ramieniu i poszedł do matki. Ale potem, gdy już zjedli kolację i położyli Chloe spać, chwycił Esther za rękę i zaciągnął na balkon.

Pod nimi miasto zaczynało ożywać, światła pojawiały się tam, gdzie jeszcze tydzień wcześniej panowała martwa pustka. Widać było nawet sznur kolorowych światełek przeciągnięty wzdłuż plaży.

- Ktoś się cieszy ze świąt - powiedziała Esther. Bill przytulił ją.

- Co cię gryzie?

Poczuł, jak potrząsa głową przytuloną do jego piersi i czekał, aż wewnętrzna uczciwość nakaze jej wreszcie wyznać powód zmartwienia.

Wysunęła się trochę z ciasnego uścisku i pocałowała go w szyję, wędrując coraz wyżej w kierunku małej blizny za uchem. Czy pamiętała, jak wrażliwe jest to miejsce? Że doprowadza go do szaleństwa? Przygarnął ją do siebie, teraz zaprzątnięty tylko pieśczęcią. Wszystkie trudne myśli uleciały mu z głowy.

- Czy masz całkowite, niekwestionowane, niepodważalne prawo do opieki nad Chloe? - To pytanie rąbnęło go niespodzianie niczym cios, wytrącając z przyjemnego stanu, w jakim był jeszcze przed sekundą.

- Dlaczego pytasz?

- Bo chcę wiedzieć.

Odsunęła się teraz całkowicie i stała przy barierce, wpatrując się w ciemność, gdzieś tam tylko mieniącą się światłami.

Milczał. Tak wiele wydarzyło się w ostatnim tygodniu, że nie był pewien, czy istnieje właściwa odpowiedź. Stał przy Esther, wdychając jej zapach.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia - odrzekł. - Wątpię, czy jakiegokolwiek prawo do opieki jest niepodważalne. Teraz, kiedy wiem, że nie jestem biologicznym ojcem Chloe, obawiam się tego nawet bardziej. Pytanie, czy Marcie wie, że Chloe nie jest moja. Jeśli wie, może to wykorzystać przeciwko mnie. A jeśli nie wie, tylko podejrzewa, zawsze może zażądać testu DNA, żeby udowodnić ojcostwo.

Umilkł, zastanawiając się, dlaczego Esther, zwykle tak wrażliwa i delikatna, zmusza go do rozdrapywania świeżej rany.

- Czy mógłbyś stracić Chloe? - naciskała bez litości.

- Być może tak - przyznał na pół z jękiem, bo nie mógł znieść takiej myśli. - Ale nie bez walki. Nie wierzę, żeby odebrano mi dziecko tylko dlatego, że matka tego żąda. Wychowuję ją od dnia narodzin. To się będzie liczyć w sądzie.

- Czy tak bardzo jak pokrewieństwo? - zapytała Esther cicho, wracając do pokoju.

Następnego wieczoru, gdy Bill wrócił do domu, nie zastał tam Esther. Tę zagadkę wytłumaczyła mu matka.

- Powiedziała, że zostało jej dużo pracy, którą musi skończyć przed świętami, a ja mam już dość sił, żeby poradzić sobie z Chloe.

- Pozwoliłaś jej pójść?

- Przecież nie pojechała do Afryki. Poszła do szpitala. Dziwię się, że jej tam nie spotkałeś.

Bill podejrzliwie przyjrzał się matce.

- Zdenerwowałaś ją? Powiedziałaś coś złośliwego? Mówię poważnie, mam, jeśli tak, to wsadzę cię w pierwszy lepszy samolot do Stanów. Esther wyleczyła ciebie i Chloe z dengi. Pomogła mi przetrwać czas, kiedy obie byłyście umierające. Kocham ją, mam, zawsze kochałem i prawie uzyskałem deklarację wzajemności.

- Może ona sądzi, że Chloe kochasz jeszcze bardziej?

- To nie są zawody! - ryknął. - Nie mogę porównywać moich uczuć do Chloe i do Esther. Dlaczego miałbym to robić?

Matka wyglądała na zawstydzoną, potem westchnęła ciężko, a on przypomniał sobie, że nie powinien robić awantury chorej kobiecie. Ale skoro matka nie chce mu powiedzieć, co się dzieje, musi wydobyć to z Esther.

Przygotował kolację, nakarmił Chloe, położył ją spać, a gdy tylko usnęła, poinformował matkę, że idzie do szpitala.

Znalazł Esther w małym pokoiku na szóstym piętrze, tuż obok biura, w którym niedawno przebywał.

- Nie wypiałaś swojego kieliszka wina. Przyniosłem ci go - oznajmił, patrząc na sztywną, bladą postać za biurkiem.

- Muszę pomyśleć, Bill - szepnęła.

- Nie, musisz porozmawiać - uciał natychmiast. - Dostyc tego chowania się za pancerzem. Koniec, Esther. Wyrzuć to z siebie. Co cię tak gryzie? Z tego, o co pytałaś wczoraj, wnioskuję, że chodzi o Chloe. Nie kochasz jej?

- Nie kocham jej ? Jak możesz w ogóle zadawać takie pytania? Nie widzisz, że serce mi pęka z miłości do niej ?

- Pytam, bo ty nie mówisz mi niczego – odrzekł i napełnił dwa kieliszki, które wyjął z zabranej z domu torby. - Kochasz Chloe. Czy w takim razie nie kochasz mnie?

Esther podniosła kieliszek i upiła łyk wina, po czym zdecydowała, że łyk to za mało. Jednym haustem opróżniła kieliszek, zakrztusiła się i pozwoliła Billowi poklepać się po plecach. On zaś uparcie czekał na odpowiedź.

- Chodzi właśnie o to, że ją kocham. Kocham prawie tak samo jak ciebie. A kochając was oboje, nie mogę znieść myśli, że moglibyście zostać rozdzieleni. Przeze mnie.

- Ale dlaczego...

Esther uciszyła go gestem dłoni.

- To się może zdarzyć, Bill. Musisz mieć tego świadomość. Jeśli znów będziemy razem, kto wie, czy to nie sprowokuje Marcie do walki o prawo do dziecka. I ty tę walkę możesz przegrać.

Nastąpiła długa cisza.

- Esther - odezwał się wreszcie. - Nie możemy całe życie się bać, że każdy nasz krok spowoduje straszne konsekwencje. Owszem, Marcie może wystąpić o opiekę nad Chloe. Na przykład dlatego, że obudzi się pewnego dnia w złym humorze, albo dlatego, że uzna, że dziecko to modny gadżet. Nie mamy na to wpływu. Ale mamy wpływ na nasze szczęście. Za długo już zwlekaliśmy. Wyjdź za mnie jeszcze raz. Bądź moją żoną. A także matką Chloe i synową mojej matki. Wiem, że potrafisz wspaniale pełnić te role. Nie podałaś mi dotąd ani jednej racjonalnej przyczyny, dla której nie mogłabyś za mnie wyjść, a ponieważ kocham cię do szaleństwa, proponuję, żebyś wreszcie się na to zdecydowała.

Esther nigdy w życiu nie słyszała, żeby Bill wygłosił tak długą mowę. Ta mowa ogrzała wszystkie zimne miejsca w jej sercu i skruszyła pancierz, którym się zasłoniła, choć nie sądziła przedtem, że da się go skruszyć samymi słowami.

- Dobrze - powiedziała tylko, by po tak długiej przemowie od razu przejść do pocałunków.

Rozdział dwunasty

Janet, z którą Esther zdążyła się zaprzyjaźnić, nalegała, by przenieść się do niej na dwa dni przed ślubem.

- Zwykle cała rodzina zjeżdża do mnie na święta. W tym roku ich nie będzie i w domu mam pusto jak w kostnicy.

- Ale to oznacza, że wszystkie przygotowania do ślubu spadną na Billa i jego matkę, która nie czuje się najlepiej - protestowała Esther.

- Bill da sobie radę - odparła Janet. - Przy dziecku pomaga mu Sara ze żłobka, a przygotowaniem jedzenia zajmie się szpitalna stołówka. Możesz więc zamieszkać u mnie i wypocząć.

- Nic nie robić? - Esther powiedziała to z takim przerażeniem, że pielęgniarka aż się roześmiała.

- Nie zaszkodzi ci. Nie miałaś chwili dla siebie, odkąd przyjechałaś. Na ślubie musisz być piękna. Co to za panna młoda z cieniami pod oczami? Jak ty wyjdiesz na zdjęciu?

- Nie będę prawdziwą panną młodą. Bill i ja już raz to przerabialiśmy.

- Ale tym razem to jest ten właściwy ślub. Esther poddała się w końcu i przeniosła walizkę wraz ze wszystkim, co posiadała, do domu Janet. Przeprowadzka okazała się dobrym pomysłem, mimo że po tyśiąckroć w ciągu dnia tęskniła za Billem, pragnęła słuchać zapewnień o jego miłości i snuć plany na przyszłość.

- W co się ubierzesz? - zapytała Janet, gdy Esther wróciła z urzędu miasta, gdzie ślubów udzielał mężczyzna, którego poznała na zebraniu u dyrektora szpitala.

- W dzinsy i koszulkę. Nie przywiozłam innych ubrań. Wstąpiłam po drodze do centrum handlowego, ale sklepy jeszcze są zamknięte. Ubranie nie ma znaczenia. I tak włożyłabym coś prostego.

- Za dziesięć lat Chloe będzie chciała zobaczyć wasze ślubne zdjęcia. Nie chcesz chyba, aby pomyślała, że dla jej ojca nie chciało ci się wysilić na jakiś lepszy ciuch?

Esther potrząsnęła głową.

- Janet, ja nie potrafię zbyt dokładnie wyobrazić sobie jutra, a ty mówisz mi o tym, co się zdarzy za dziesięć lat.

Ale słowa Janet zrobiły na niej wrażenie. Gdy Jill, druga z pielęgniarek, pojawiła się z walizką pełną ubrań swojej córki, Esther zgodziła się je obejrzeć.

- Moja córka nosi twój rozmiar i mówi, że możesz pożyczyć sobie, co tylko chcesz. Pracuje jako rzeczniczka prasowa w spółce górniczej, więc ma garderobę na każdą okazję - wyjaśniła Jill, otwierając walizkę i rozrzucając jej zawartość na łóżku.

- Ooo, to jest śliczne! - Janet podniosła za ramiączka obcisłą satynową suknię i przyłożyła ją do swej rozłożystej sylwetki.

- Nie w moim stylu. - Esther wołała coś jasnego i prostego w kroju. Nie lubiła rzucać się w oczy. Był to nawyk tak głęboko zakorzeniony, że aż zadrżała, kiedy Jill wyciągnęła jedwabną suknię w delikatnych odcieniach złota.

- To jest to - oświadczyła Jill. - Będzie ci w tym do twarzy. Już cię w niej widzę. Patrz, w ogóle nie-noszona, metka jeszcze wisi.

Esther z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

- Nie noszę kolorowych rzeczy.

- Ona nie jest kolorowa - zapewniła Jill. - Jest kremowa, ze złotymi refleksami. Zapomnij o tym złocie i przymierz.

Materiał był tak miękki i lekki, że Esther kusilo, by rzeczywiście spróbować.

- Czy Bill nie zasługuje na piękną pannę młodą? - mruknęła jej do ucha Janet.

- Dobrze, zobaczymy - zgodziła się i gdy tylko materiał spłynął po jej ciele, przepadła z kretesem.

Suknia była jak pieszczota, otulała jej ciało, chłodząc skórę. Esther wyglądała w niej pociągająco i - musiała to przyznać, patrząc w lustro - prawie pięknie.

- Uczeszymy włosy, o tak, zepniemy czymś złotym i kwiatami.

- Jill już zdążyła ułożyć jej włosy w kok, a Esther poczuła, jak jej niepewność zmienia się w zachwyty.

- Ładnie - szepnęła nieśmiało, a jej nowe przyjaciółki aż zapiały z radości.

Bill był zdenerwowany. Nie powinien był pozwolić Esther na przeprowadzkę do Janet. Powinien był naciskać, by została w do-

mu, gdzie by ją przytulał i przywracał jej pewność siebie, gdyby tylko ogarnęły ją wątpliwości.

On znał je najlepiej. Któż inny mógł wiedzieć o Esther więcej? Znał jej niepewność, jej słabe punkty, a jednak pozwolił jej wymknąć się spod kontroli. Mogła zmienić zdanie. Nie mógł tego znieść i zamęczał ją telefonami.

- William, przestań chodzić tam i z powrotem. Denerwujesz Chloe.

- A co będzie, jeśli Esther zacznie mieć wątpliwości i zmieni zdanie, mamó?

Wyrzucił z siebie to pytanie, zanim zdał sobie sprawę, że zadaje je niewłaściwej osobie. Jeszcze niedawno matka z najwyższą przyjemnością odpowiadałaby, że w takim wypadku będzie miał więcej szczęścia niż rozumu.

Ale ona też się zmieniła, choć nie do końca rozumiał jej motyw. Zdawała się cieszyć jego radością i przystroiła mieszkanie na dzień ślubu, pamiętając, że trzy lata temu Esther podobały się białe i złote świąteczne ozdoby,

- Esther cię nie zawiedzie - odpowiedziała. - Zamierzasz w ogóle iść dziś do pracy?

- Oficjalnie mam tygodniowy urlop, ale wstąpię tam na chwilę. Chcesz coś ze sklepu?

- Nie, ale ten sympatyczny dyrektor szpitala ma dla mnie list. Czy mogę liczyć, że odbierzesz go?

- Bill zachmurzył się. Nie miał pojęcia, że jego matka w ogóle zna Johna Sandona. Kiedy przyjechali do Jamestown, zapraszano ją na przyjęcia służbowe, ale odmawiała, twierdząc, że przyjecha-

ła tylko po to, by zająć się Chloe. Czyżby spotkali się, gdy była w szpitalu? Zresztą, jakie to ma znaczenie...

Niewielkie, ale po raz pierwszy mógł pomyśleć o czymś innym niż Esther. Esther, która może zmienić zdanie.

Zadzwoni do niej. Albo wpadnie do Janet po drodze ze szpitala. Tak, tak właśnie zrobi.

- Mógłbyś też kupić lody - dodała Gwyneth. -Chloe nie chce jeszcze jeść, a lody może ją skuszą.

Lody! Nie może odwiedzić Esther i zostawić ich w samochodzie. Czy matka specjalnie dlatego kazała mu je kupić? Próbuje go doprowadzić do obłędu? Udaje, że cieszy się ze ślubu, podczas gdy w rzeczywistości...

Absurd. Zachowuje się jak nastolatek w wirze pierwszych uczuć i namiętności, a przecież jest dorosły i powinien wziąć się w garść.

- William! Znowu się kręcisz. Idź do szpitala i zrób coś pożytecznego. Przestań się martwić o jutro. Esther na pewno przyjdzie, ślub się odbędzie i...

Zawahała się, a Bill przystanął zaintrygowany. Co matka chciała mu powiedzieć?

- Jesteście szczęśliwi. Ona zawsze cię uszczęśliwiała. Widziałam to nawet wtedy, kiedy nie podobało mi się to małżeństwo. Zbyttno troszczyłam się o Marcie, tak bardzo było mi jej żal. Sądziłam, że kiedy za ciebie wyjdzie, pouklada jej się w głowie. Uspokoi się. Myślałam, że dasz jej bezpieczeństwo, spokój i miłość, a ona się zmieni. - Gwyneth podeszła o krok bliżej i położyła na ramieniu Billa dłoń pokrytą siatką błękitnych żył. - Przepraszam. Powinnam była wspierać ciebie i Esther.

Nigdy nie spodziewał się przeprosin z jej ust, toteż poruszyły go one do głębi.

- Pójdę już - powiedział, całując matkę w policzek. - Dziękuję za wszystko, mammo.

Przeszedł przez cały szpital, rozmawiając z każdym pacjentem, dłużej zatrzymując się u tych z oddziału geriatrycznego, którzy mieli mniej gości. Od wszystkich przyjmował życzenia i gratulacje, bo wieści w szpitalu rozchodziły się szybko.

Potem kupił lody i spędził resztę wieczoru, namawiając Chloe do jedzenia i myśląc o narzeczonej.

Zadzwoił do niej tylko raz, następnego dnia, aby usłyszeć jej głos, powiedzieć, że ją kocha i bardzo prosi, aby jeśli darzy go choć odrobiną uczucia, nie spóźniła się na ceremonię. Umierał wprost z tęsknoty za jej widokiem, dotykiem, pocałunkiem. Nakazał jej obiecać, że już nigdy, przenigdy się nie rozstaną. Zaśmiała się cichutko, zapewniła, że zjawi się na czas i powiedziała, że nie może obiecać, że się nigdy nie rozstaną, bo przecież oboje mają pracę, która wymaga podróży do różnych krajów.

- Ale nigdy nie rozdzielimy się duchem, Bill - dodała. - Te dwa dni wydawały mi się trudne, tęskniłam za tobą, ale jednocześnie cały czas czułam, że jesteś przy mnie, kochasz mnie i że najlepsze jest przed nami. Chyba wreszcie znalazłam swoje miejsce. Przy tobie i w twoim sercu.

Wzruszenie ścisnęło Billa za gardło. Kiedy wreszcie się odezwał, głos ochryplł mu z przejęcia.

- Sprawiałaś mi najpiękniejszy prezent gwiazdkowy, o jakim kiedykolwiek mogłem marzyć. Twój spokój i poczucie bezpieczeństwa, najmilsza, to mój gwiazdkowy cud.

Z Janet i Jill u boku, Esther stanęła przed mieszkaniem Billa punktualnie o czwartej. Esther dygotała ze zdenerwowania, przekonana, że jej złota suknia jest zbyt ekstrawagancka i trzeba było zostać przy dzinsach i koszulce, przerażona, że Bill już jej nie kocha.

Ta ostatnia wątpliwość została rozwiana, gdy tylko pan młody otworzył drzwi. Wyraz jego oczu mówił więcej niż jakiegokolwiek wyznania. Zlikwidował także problem sukni, mówiąc głosem ledwie głośniejszym od szeptu:

- Wyglądasz tak pięknie, że boję się cię dotknąć. Nie okażesz się snem i nie znikniesz?

- Nie zniknę - odszepnęła. - I bardzo proszę, dotknij mnie. Tak się trzęsę, że nie wiem, jak dojdę do pokoju.

Twarz Billa rozjaśniła się uśmiechem dobrym, czułym i pełnym miłości, a serce Esther omal nie pękło od nadmiaru emocji.

- Pozwól. - Podał jej ramię, a gdy wsunęła rękę pod jego łokieć, przyciągnął ją bliżej.

Ten prosty gest świadczył o tym, że będzie jej bronić dziś i w przyszłości, cokolwiek ich w niej czeka. Wesprzyj się na mnie, mówił ten gest, a Esther postanowiła, że tym razem nie zmarnuje szansy.

Weszli do środka. Niewielka grupa zebranych entuzjastycznie biła brawo.

Esther rozejrzała się wokół i westchnęła. Znajomy salon zupełnie się zmienił. W kącie stała choinka przystrojona na biało i złoto, takie same motywy zdobiły cały pokój.

- Tak to wyglądało w moich marzeniach - szepnęła, a Bill uśmiechnął się, jakby o tym wiedział.

- To dzieło mamy - odparł. Esther odwróciła się do teściowej.

- Dziękuję - powiedziała szczerze.

Bill zaprowadził pannę młodą przed oblicze urzędnika i oboje przysięgli sobie miłość, wierność i szacunek - tym razem na zawsze.

Ich pocałunek był potwierdzeniem przysięgi i obietnicą szczęśliwej przyszłości. Potem zmienił się w inną obietnicę - tego, co miało nastąpić, gdy zostaną sami.

- No już, już, wystarczy - powiedziała Janet i oboje rozłączyli się zawstydzeni. Zaczerwieniona Esther uśmiechnęła się do przyjaciół.

Na koniec ceremonii Gwyneth podeszła do nich z Chloe w ramionach i postawiła dziewczynkę na ziemi.

- Zawołaj ją - powiedziała.

Esther puściła dłoń Billa, pochyliła się i wyciągnęła rękę.

- Hej, Chloe! Chodź do Esther, kochanie.

A Chloe, z wyrazem najszczerzego zachwytu na buzi, postawiła trzy chwiejne kroczki w jej kierunku.

- Essser - powiedziała, wpadając w objęcia Esther.

- Kiedy cię nie było, mama nauczyła ją chodzić i wymawiać twoje imię - wyjaśnił Bill.

- Jeszcze raz dziękuję. - Esther wyprostowała się, trzymając dziewczynkę na rękę. - Nie mogłaś dać mi lepszego prezentu.

- Och, chyba jednak coś mi się udało wymyślić - odparła Gwyneth, wręczając Esther kopertę. - O-twórz ją dopiero, kiedy będziecie z Billem sami.

Esther posłusznie schowała kopertę do torebki pożyczonej od Jill. I tam koperta została, bo gdy goście opuścili przyjęcie, nowożeńcy zapomnieli o niej i zajęli się sobą. Na ich noc poślubną Gwyneth i Chloe przenieśli się do Janet.

Bill wziął Esther w ramiona i oboje potwierdzili swoją miłość, dając i biorąc, zachwycając się sobą. Wynurzyli się z sypialni dopiero w południe następnego dnia.

W salonie Esther znalazła torebkę wiszącą na oparciu krzesła i przypomniała sobie o liście Gwyneth. Na kopercie napisano imiona ich obojga - jej i Billa, więc zabrała go ze sobą do kuchni.

- Wczoraj dała mi to twoja mama. Wiesz, co to?

- Czek?

- Nie potrzebujemy pieniędzy od twojej matki. - Esther zachmurzyła się, a Bill zaśmiał.

- Myślę, że ona o tym dobrze wie. Dlaczego go nie otworzysz? Sprawa się wyjaśni.

Ciągle nieufna wobec Gwyneth, Esther wyjęła z koperty kartkę.

- To faks ze Stanów - powiedziała niepewnie, spoglądając na Billa. - Od Marcie, do mnie i do ciebie. Oddaje nam Chloe pod opiekę. Na zawsze.

Serce biło jej jak oszalałe, gdy odczytała treść listu jeszcze raz, tym razem na głos.

- To kolejny cud. Powiadasz, że dostałaś to od mamy? - Bill wstał i zjrzał jej przez ramię. - Jak ona to zrobiła? Przekupiła Marcie? Zaszantażowała ją?

- Może po prostu ją poprosiła? Może Marcie się zgodziła, bo twoja matka zawsze była jej dobrą przyjaciółką? Nikt, kto wydał na świat tak śliczne dziecko jak Chloe, nie może być zupełnie zły. Bill objął żonę.

- Tylko ktoś naprawdę piękny, ciałem i duchem tak jak ty, mógł to powiedzieć, pani Jackson. Czy tym razem zostaniesz już moją żoną na zawsze?

Esther kiwnęła głową, przytulona do jego piersi. Całe życie szukała miejsca, które mogłaby nazwać swoim własnym, i wreszcie je znalazła.

RS